

Tadeusz
Mańkowski

„PAMIĘTNICZEK”

„*Pamiętniczek*” przechowałam jako najbliższa żyjąca krewna autora, zwana „kronikarzem rodzinnym”. Z trudem odczytałam niektóre fragmenty rękopisu. Materiał w postaci elektronicznej i wydrukowane egzemplarze przekazałam na ręce dyrektora Zamku Królewskiego Wawel prof. dr hab. Janowi Ostrowskiemu do rozpowszechnienia. W załączniku zamieściłam genealogię Tadeusza Mańkowskiego.

dr inż. Maria Kuczyńska

We Lwowie czasów wojny

Czasy wojenne odwracają bieg życia w innym kierunku, zmieniają jego nastawienie. Pozbawiony dotychczasowego celu, oderwany od pracy, której był dotąd oddany, człowiek patrzy na życie swe wstecz jako na okres zamknięty, na to co przeżył i czym był. Czy po wojnie zdoła nawiązać do przeszłości i podjąć pracę życia w tym punkcie, w którym ją wojna przerwała? Czy nowe, odmienne warunki nie zmuszą go do zerwania z przeszłością i do dostosowania się do czegoś, z czego jeszcze w ogóle sprawy teraz zdać sobie nie potrafimy? Przyszłość będzie na pewno inna, niż ją sobie teraz wyobrażamy, a na pewno będzie dość ciężka dla kogoś posuniętego już w latach, mniej nadającego się do zmian w sposobie myślenia, jakie przyniesie ze sobą kataklizm wojenny, wojny tak strasznej jak ta, na którą patrzymy i której rezultatów przewidzieć nie możemy.

To też chwila jest odpowiednią by spojrzeć wstecz poza siebie i zdać sobie sprawę z tego co się zrobiło. Rękopisy prac naukowych, niepowykańczane spoczywają w teczkach, gdyż uzupełnienie ich wymaga niemożliwych dziś podróży, studiów archiwalnych poza miejscem, w którym się mieszka i spojrzenia na zabytki w tej chwili niedostępne. Przerzucając ich kartki co jakiś czas i powracając myślą do rozpoczętych prac, daremnie radbym je widzieć przepisane i wykończone. Nie osłabienie energii twórczej, czy sprawności myśli nie pozwala nadać im ostatecznej formy i treść wyczerpująco przedstawić, lecz stanęły temu na przeszkodzie nieprzeparcie piętujące się trudności dla badań naukowych, jakie niosą z sobą warunki wojenne. Może przynajmniej dla mnie samego, krótkie zdanie rachunku z życia będzie pożyteczne. Idzie o rozprawienie się z samym sobą, krytyczne, o ile krytyka samego siebie jest dopuszczalna i obiektywnie możliwa, ani zbyt łagodna, ani przesadna.

Byłem dzieckiem dość wątłym i chorowitym. Zaważyła na mych losach przebyta w dzieciństwie choroba Heine-Medina, z której wyszedłem względnie obronną ręką, ze słabszą wskutek przejściowego porażenia lewą nogą i pewnym cofnięciem fizycznego rozwoju, który starałem się może podświadomie odrobić sportami. Jednakże w tym zakresie nigdy nie potrafiłem doprowadzić do wyższego poziomu. Życie sportowe samo dla siebie mnie nie pociągało, jako pewnego rodzaju antyteza życia umysłowego, którego głębszą potrzebę może odczuwałem.

Mając lat 5 straciłem ojca i matka ze mną i z młodszą ode mnie siostrą powróciła do domu swych rodziców. Warunki materialne były skromne. Uczyłem się z początku w domu, zaś od drugiej klasy gimnazjalnej chodziłem do szkoły. Szkolny tryb nauki na ogół był przeciwny memu usposobieniu. Uczenie się zadanych ustępów, stanowiących jakiś fragment całokształtu danego przedmiotu nie pociągało mnie. Żądza wiedzy dość wcześnie rozbudzona parła mnie raczej do pochłaniania książek różnej treści nie mających związku z nauką szkolną. Biblioteka prywatna mego dziadka, w której przeważały dzieła treści historycznej dostarczała mi lektury, a nauka szkolna nieraz na tym cierpiała. Pewne pobudzenie ambicji z jednej strony, z drugiej zaś chęć wyrwania się z więzów systemu szkolnego sprawiły, że do tzw. egzaminu dojrzałości, stanowiącego wówczas zakończenie szkoły średniej i uprawniającego do wpisania się na uniwersytet, przygotowałem się dobrze. Lecz gimnazjum nie dało mi żadnej wskazówki, w jakim kierunku mam pójść przez życie. Nie zdołałem w sobie wyrobić żadnego szczególnego zamiłowania, mając wiele zainteresowań. Czas jakiś pociągała mnie przyroda. Lecz nie były to głębsze skłonności naukowe, a raczej przyjemność obcowania z naturą, skłonności kolekcjonerskie, przejawiające się w zbieraniu roślin i owadów, opanowanie systematyki tych działów przyrody, wreszcie pasja myśliwska, znajdująca ujście w czasach wykacyj szkolnych i pobytu na wsi, ze strzelbą w rękę.

Poza wpływem najlepszej i najdroższej matki, który oddziaływał przede wszystkim na stronę uczuciową młodego chłopca, wpływ na mnie wywierali w tym czasie trzej ludzie, kształtując moją indywidualność. Wpływ ten szedł w kierunkach dość rozbieżnych; dziadek bowiem, w którego domu wychowywałem się, był typem książkowego uczonego, bibliotekarzem, o wykształceniu filologiczno-historycznym, zachęcał mnie do czytania dzieł poważnych, sam podsuwał lekturę, przynosił książki z biblioteki Dzieduszyckich, którą zawiadował, zwracał uwagę na piękności literatury polskiej. Wolne przedpołudnia często też spędzałem naprzemian w bibliotece Dzieduszyckich na przeglądaniu książek, lub w Muzeum Dzieduszyckich na przyglądaniu się zbiorom przyrodniczym. Posuwająca się choroba i podeszły wiek dziadka Łozińskiego umniejszały z czasem te wpływy, a zyskiwał je młody brat matki, człowiek zgoła innego typu niż jego ojciec. Raczej powierzchownie traktujący życie, pogodny i realny, obrał był sobie zawód adwokacki. Miał łatwość wierszowania, którą zużytkowywał na okolicznościowe wierszyki. W stosunkach z ludźmi łatwy i miły, dążył do uzyskania przede wszystkim niezawisłości materialnej i myśl o tym wpajał może mimowiednie w umysł młodego

chłopca, kierując jego dążenia bardziej ku życiu zewnętrznemu i towarzyskiemu niż naukowej pracy, jako nie przynoszącej materialnych korzyści. Dalszym krewnym był inny wuj, kuzyn matki, gospodarujący na wsi, w którego domu spędzałem zwykle ferie szkolne, oddając się z namiętnością myślistwu. Miał on niezwykle dar zyskiwania serc młodzieży przyjacielskim sposobem bycia, rozmowami, w których kładł nacisk na tężyznę charakteru i męski sposób pojmowania życia. Człowiek o szerszym rozmachu życiowym przywiązał mnie do siebie szczerze i stanowił czas długi ideał męczyzny. Nie mając bliskich przyjaciół wśród rówieśników i kolegów szkolnych uważałem go za najbliższego. Lecz zbyt szeroki gest życiowy Jana Sołowija spowodował później jego katastrofę finansową i rychłą śmierć, podczas kiedy mniej wybitny indywidualnie, bardziej skromny i oszczędny wuj August Łoziński doszedł do stosunkowo znacznego majątku.

Najgłębsze w umyśle kilkunastoletniego chłopca przejścia wewnętrzne, walki samego z sobą i rozterki powodowały kwestie religijne. Z jednej strony wpływ matki, dziecinna wiara i uczucie jej wewnętrznej potrzeby jako oparcia w życiu, z drugiej strony wczesna refleksja, lektura dzieł przyrodniczych i filozoficznych o materialistycznym światopoglądzie w duchu epoki, zasiały w mej duszy niepokój. Czułem się głęboko nieszczęśliwy, przechodziłem dość wcześnie zwykły w młodości okres „*Sturm und Drang*”, a od gorszych w tym stanie duszy konsekwencji chronił mnie może najbardziej przykład męskiej postawy życiowej i wpływ wuja Sołowija.

Po zdaniu przeze mnie egzaminu maturalnego odbyto w domu naradę, w jakim kierunku miałyby iść nadal moje kształcenie i jaki zawód miałyby być dla mnie najodpowiedniejszy. Wzięli w niej udział wuj Łoziński, inny wuj, brat starszy Jana Sołowija z zawodu adwokat, stryj mój Bolesław Mańkowski urzędnik biblioteki uniwersyteckiej i docent pedagogii. Ponieważ sam na ten temat nie miałem żadnego zdania, stryj zaś był sam w okresie niezadowolenia z siebie i w naukowej karierze nie widział dla mnie przyszłości, przeto po rozważeniu wszystkich możliwości, postanowiono, że mam być prawnikiem. Przeważało zdanie dwóch prawników - adwokatów, Łozińskiego i Sołowija, uważających może słusznie, że wykształcenie prawnicze daje największe możliwości i że w skromnych materialnych warunkach naszej rodziny powinienem dążyć do jak najrychlejszej samoistności finansowej.

Bez jakiegokolwiek zatem inklinacji do zawodu prawniczego studiowałem prawo, bez zapału, nawet z pewnym przymusem. Punktem świetlanym w tych narzuconych mi studiach były wykłady i seminarium

prawa polskiego prof. Balzera. Zamiłowanie moje do nauk historycznych znalazło w tym swe ujście. Od tego czasu też datuje się, ma przyjaźń z kolegą ze szkół średnich jeszcze Władysławem Semkowiczem, współtowarzyszem studiów pod kierownictwem Balzera. Znakomitemu profesorowi Balzerowi zawdzięczam metodę naukową, którą w mych przeskokach w inne dziedziny wiedzy, miałem później zastosować w innym zakresie. Pierwsza moja praca naukowa, powstała pod kierownictwem Balzera o prawie łowieckim w Polsce w wiekach średnich została wydana drukiem nieco później w warunkach niepomyślnych, w czasie kiedy mieszkając w Innsbrucku nie miałem możliwości nawet sam dokonać korekty druku.

Studia z zakresu prawa nie pochłaniały mnie całkowicie. Poza pracą konieczną do zdania przepisanych egzaminów prawniczych, pracowałem w kancelarii adwokackiej wuja Łozińskiego dla celów zarobkowych, później zaś nieco uzyskałem miejsce tzw. stypendysty w bibliotece Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Obcowanie z książkami i przebywanie wśród książek, możliwość korzystania z biblioteki i wypożyczania dzieł do domu, pozwoliły mi na rozszerzenie zakresu studiów. Prócz prawno - historycznych, pociągały mnie dzieła z zakresu dziejów kultury i sztuki.

O pracy nad lwowską sztuką i kulturą artystyczną marzyłem jeszcze jako młody chłopiec. Przemawiały do mnie zawsze zabytki architektury, czarował urok ich dawności, nęciła i drażniła zagadka powstania utworów przeważnie anonimowych, gdyż prawie jedyne podówczas badania Wł. Łozińskiego nie zdołały odkryć wszystkich ich autorów. W różnych nastrojach w różnych okresach życia wędrowałem wśród lwowskich dzieł architektury sam, lub z towarzyszami młodości, Wł. Semkowiczem, Zygmuntem Batowskim, Franciszkiem Pułaskim, odnajdując zawsze nowe uroki w zakątkach dawnych ulic lwowskich. Inaczej patrzyłem na nie jako student gimnazjalny, inaczej słuchacz uniwersytetu, inaczej znów później, bardziej refleksyjnie, młody człowiek poszukujący drogi życiowej, mniej ulegający samym tylko nastrojom. Skłonności moje coraz bardziej przechylały się ku dziejom sztuki dawnej, a silny wpływ wywarła na mnie także w czasach uniwersyteckich zawarta przyjaźń ze starszym ode mnie historykiem sztuki Zygmuntem Batowskim.

Tymczasem mijały dalsze stopnie w zawodzie prawniczym. Po skończeniu uniwersytetu wstąpiłem do sądu, przygotowując się równocześnie do rygorozów dla uzyskania stopnia doktora praw. Część praktyki sądowej postanowiłem przejść poza ówczesną austriacką Galicją. Pociągało mnie poznanie innych prócz rodzinnych środowisk kulturalnych.

Wybrałem Innsbruck w Tyrolu, bliski Włoch, z myślą o zwiedzeniu stamtąd skarbów sztuki włoskiej. Zwiedzenie Werony, Padwy, Wenecji, Bolonii i Florencji wywarło na mnie decydujące wrażenie. Odtąd lektura dzieł z zakresu historii sztuki i pogłębianie znajomości dzieł sztuki stało się dla mnie koniecznością życiową. Pobyt w Innsbrucku dał mi prócz tego znajomość psychologii niemieckiej i niemieckich tendencji politycznych. Były to czasy budzenia się i krzepnięcia partii wszechniemieckiej, wzrastania niemieckiego nacjonalizmu. Cofał się lojalny austriacki w Tyrolu katolicyzm, a wyrastały nowe siły, które na terenie Tyrolu znajdowały podówczas ujście w ekscesach antywłoskich na uniwersytecie w Innsbrucku. Biorąc urzędowy udział w śledztwie karnym z tego powodu zetknąłem się z tym bezpośrednio, a styczność z niemieckimi kolegami w sądzie i rozmowy z nimi pozwoliły mi wejrzeć w niejedną z mniej na zewnątrz przejawiających się tendencji niemieckiego nacjonalizmu.

W prowadzonej z Innsbrucku korespondencji z wujem Łozińskim dojrzała decyzja porzucenia sądu i przejścia do adwokatury z perspektywą późniejszej współpracy z wujem w tym zawodzie. Powróciwszy do Lwowa wpisałem się zatem na listę kandydatów adwokatury i pracowałem czas jakiś w kancelarii wuja. Przerwę w pracy w tym kierunku stanowiło przyjęcie posady referenta hipotecznego w biurze włości rentowych Galicyjskiego Wydziału Krajowego. Wciągnął mnie w tę pracę przyjaciel naszej rodziny Henryk Sawczyński, sam urzędnik Wydziału Krajowego a zarazem historyk, uczeń Liskego, człowiek wybitnych zdolności. Za marszałkowstwa Stanisława Badeniego postanowił sejm galicyjski stworzyć na wzór pruski instytucję włości rentowych, by zapobiec tą drogą rozdrobieniu chłopskiej własności ziemskiej w Galicji. Po roku pracy nastąpiła jej przerwa wskutek choroby zapalenia płuc, którą przeszedłem, nie powracając już do Wydziału Krajowego, lecz znów do kancelarii adwokackiej wuja Łozińskiego. Po skończeniu siedmioletniej podówczas przepisanej praktyki i zdaniu egzaminu adwokackiego wpisany zostałem na listę adwokatów z siedzibą we Lwowie i prowadziłem odtąd kancelarię wspólnie z wujem Łozińskim.

Praca adwokacka odpowiadała mi tym, że dawała mi bezpośrednią styczność z życiem, pobudzała moją energię życiową, drażniła ambicję. Stopniowo wyrabiałem w sobie pewien nerw prawniczy i adwokacki, znawstwo ludzi tak potrzebne w sprawach, w których interesy materialne wchodziły w grę. Lecz nerwowa praca w tym zawodzie kosztowała mnie wiele, zwłaszcza przeżywane emocje w sprawach procesowych wyczerpywały mnie. To też raczej praktyka w sprawach tzw. niespornych, kontraktowych i innych była moją dziedziną. Wuj Łoziński był radcą

prawnym (tzw. syndykiem) Galicyjskiego Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, ja zaś jego zastępcą. Stąd też styczność ze sferami ziemiaństwa galicyjskiego i klientela tych sfer. Lat 17 mego życia pochłonęła ciężka praca w tym zawodzie, która dała mi do pewnego stopnia niezależność materialną. Odpoczynkiem i odwróceniem myśli w innym kierunku była dla mnie lektura książek z zakresu historii sztuki i kultury. Przewodnikiem moim był w tym kierunku Zygmunt Batowski. Zajmował się mną prawie jak profesor uczniem. Wiele czasu spędzaliśmy na rozmowach. Uczyłem się od niego ja, on zaś pochłonięty pracą biblioteczną i naukową, wskutek tego oderwany od życia i tęskniący do niego, czerpał może ode mnie trochę oddechu życia bieżącego, z jakim styczność bezpośrednią dawała mi adwokatura. Prawie co roku też ferie letnie spędzałem na podróżach zagranicą, z celem studiów dzieł sztuki. W tym zakresie podróże dawały mi nieraz więcej, aniżeli lektura książek. Dwukrotnie byłem we Francji, kilkakrotnie we Włoszech, w r. 1910 zwiedziłem Belgię i Holandię, przy sposobności przejazdów przez Niemcy zatrzymywałem się zwykle w tamtejszych miastach mieszczących wielkie zbiory sztuki. Podróżowałem najczęściej sam. Zagranicą było w ówczesnych stosunkach dla nas, mieszkańców austriackiej Galicji, także Królestwo Polskie i Warszawa. Jedną z pierwszych też moich podróży była wspólna z Władysławem Semkowiczem wycieczka do Warszawy pod zaborem rosyjskim i po raz drugi w r. 1912 z Zygmuntem Batowskim podróż z Sandomierza Wisłą do Puław i z Warszawy dalej do Wilna, Kowna, Pożajścia, Grodna.

Z kolekcjonerami i miłośnikami dzieł sztuki we Lwowie stykałem się w domu Heleny Dąbczańskiej, z którą łączyła mnie wieloletnia przyjaźń. W różnych zakresach zbieractwa, a zwłaszcza znawstwa dawnych tkanin zawdzięczałem wiele jej wskazówkom i jej niezwykłemu wyczuciu materiału i stylu przedmiotów sztuki. W znacznej części pod jej wpływem i przy jej pomocy zebrałem stopniowo trochę starych mebli, tkanin i obrazów, nie z myślą kolekcjonerską, lecz dla stworzenia sobie miłego i ile możliwości stylowo jednolitego interieuru mieszkania.

Czas wojny światowej 1914 — 1918 i potem wojny bolszewickiej 1920 przyniósł z sobą dla mnie zwolnienie tempa pracy zawodowej, adwokackiej, a natomiast napięcie nerwów w oczekiwaniu wyników wojny i gorączkowe śledzenie toku wypadków. Świadomy celów polityki niemieckiej, byłem od początku przeciwnikiem tworzenia legionów polskich w oparciu o mocarstwa centralne. Rozwiązania sprawy polskiej oczekiwałem od państw zachodnich, i przeciwstawiałem się także filoaustrackiej polityce N.K.N. w Krakowie. Nie zajmując się czynnie

polityką, starałem się te poglądy szerzyć tylko w gronie osób, z którymi się stykałem. Poza tym zajmowała mnie administracja majątków ziemskich zmarłego na początku wojny Henryka Szeliskiego, podróże z tym związane do Komborni, Kozowy, Chodackowa, skoro tylko ustąpiła okupacja rosyjska, choć i w czasie jej trwania byłem w Kozowie. Prowadzony przeze mnie w czasach okupacji rosyjskiej dzienniczek z opisami wrażeń i nastrojów, schowany po powrocie władz austriackich zbyt dobrze, w obawie ówczesnych represji i rewizji, gdzieś przepadł i już go odszukać nie zdołałem.

W r. 1912 pod wrażeniem wycieczki do Wilna i widoku tamtejszych zabytków, napisałem był artykuł „*Z refleksji o Wilnie i o baroku polskim*”, ogłoszony w Roczniku V Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie, który ukazał się w druku bezpośrednio przed wybuchem wojny r. 1914. Trochę szerzej zakrojoną, poświęconą zabytkom rodzinnego miasta ostatniej doby, miała być praca p.t. „*Początki nowożytnego Lwowa w architekturze*”, do której materiały zbierałem przedtem od wielu lat, a które opracowałem w czasach wojennych. Przerzucając ją dzisiaj widzę, jak w niej odbija się brak ściślejszego ujęcia materiału, i jak strona kulturalna przeważa nad stroną dotyczącą historii sztuki, lecz w zakresie tej nauki sam sobie jako autodydakta torowałem drogę, korzystając z przyjacielskich wskazówek Zygmunta Batowskiego, przeto pracę tę uważam w moich osobiście odrębnych warunkach, za moją studencką i wiele w niej radbym widzieć zmienione. Odczytanie jej na posiedzeniu Sekcji Hist. Sztuki i Kultury Towarzystwa Naukowego we Lwowie w r. 1922 było pierwszym moim występowaniem publicznym na tym terenie. Z zainteresowania okresem klasycyzmu pierwszej połowy XIX w. wynikło też przedtem jeszcze (r. 1916) studium p.t. Dom Galicyjskiego Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, w którym pracowałem jako zastępca syndyka tej instytucji. Do tego typu moich studiów zaliczyć należy też późniejszą pracę (r. 1927) p.t. Dzieje gmachu Zakładu Narod. im. Ossolińskich, dotyczącą również lwowskiej architektury czasów klasycyzmu.

Stopniowo coraz bardziej oddalałem się od zawodowej pracy adwokackiej, a coraz bardziej i wyłącznie pochłaniała mnie praca naukowa. Pod względem materialnym zdawało mi się, że osiągnąłem prawie niezawisłość, nabywszy realność miejską, przynoszącą skromny lecz w normalnych warunkach stały dochód. Grunt za miastem nabyty zyskiwał na wartości ze wzrastającym zabudowywaniem się i rozszerzaniem terenów miejskich w tamtym kierunku. Równocześnie wiele przyczyn składało się na to, by obrzydzić mi pracę zarobkową, mającą na celu zysk pieniężny. Stosunki w adwokaturze zalanej elementem

żydowskim stawały się we Lwowie nie do zniesienia. Można wprost mówić o obrzydzeniu moralnym, kiedy się je wspomina. Prawie od początku mej kariery adwokackiej zostałem wybrany członkiem rady dyscyplinarnej Izby adwokatów, mającej sędzić przekroczenia przeciw obowiązkom stanu i godności zawodu, zrzeszonych w Izbie tej jej członków. Podwójna moralność przeważnej części mych kolegów żydowskich, powołanych do sądenia przekroczeń dyscyplinarnych, obniżanie poziomu ich zawodowego „morale” zniechęcały w najwyższym stopniu każdego, przywykłego do przyzwoitego traktowania spraw życiowych i dbałego o godność stanu adwokackiego.

Z drugiej strony stosunek do wspólnika w wykonywaniu zawodu i prowadzeniu adwokackiej kancelarii, wujem Łozińskim psuł się coraz bardziej. Starszy wiekiem, przywykły do podporządkowania sobie młodszego siostrzeńca, nie zawsze umiał się zgodzić z uznaniem samodzielności drugiego wspólnika w pewnych zakresach. Zaznaczały się pewne ślady zazdrości z jego strony wobec mnie. Wszystko to zniechęcało mnie stopniowo do wykonywania zawodu adwokackiego. W samych materialnych korzyściach, jako celach życia, nie widziałem atrakcji, gdy moralnego zadowolenia przy tym nie było. Równoczesna praca naukowa, twórcza i zawodowa, w praktyce adwokackiej co raz mniej dawały się ze sobą pogodzić i wyczerpywały mnie nerwowo. To też stopniowo ograniczałem liczbę klientów i spraw, odstupując je młodszemu koledze i z czasem trzeciemu wspólnikowi naszej kancelarii, Eugeniuszowi Zaleskiemu. Pracy naukowej rzucić nie chciałem żadną miarą. Myśli moje wszystkie były przy niej, a zawodowa praca stawała się ciężarem. Wuj Łoziński traktował pracę naukową moją jako mą osobistą miłą rozrywkę, zaś przynoszącą zyski pracę zawodową uważał jedynie za rzecz serio. W moim pojęciu rzecz zdawała się przedstawiać odwrotnie. Ten stan trwał około lat pięciu, kosztując mnie wiele nerwów. Do przykrych wspomnień, należą chwile twórczej naukowej wysilającej pracy, przerywanej w kancelarii adwokackiej odwiedzinami klientów i konferencjami na tematy prawnicze. W tych warunkach, kiedy myśl odwrócona była w innym kierunku, klient odwiedzający mnie i odrywający od bardziej pociągającego zajęcia, stawał się wrogiem, a w każdym razie niepożądanym gościem. To też kiedy wuj ciężko zachorował na serce i było widoczne, że zawód swój będzie musiał porzucić, stanąłem przed dylematem, albo objęcia jego spraw kancelaryjnych, prócz mych własnych i oddaniu się w zupełności adwokaturze, bez możliwości pracowania nadal na polu naukowym, albo też pozostania przy tym ostatnim, z konieczności zadowalania się skromnymi dochodami z realności. Pozostałem przy tej

drugiej ewentualności. Decyzja była szybka, wywołana dziwną jakąś świadomością, że dla mnie innej drogi nie ma. Niespodziane wniesienie przeze mnie rezygnacji z adwokatury, określił któryś z adwokatów jako jej „kopnięcie”, Wuj Łoziński odczuwał do mnie żal, że nie poczuwałem się do obowiązku zastąpienia go w chorobie i w głębi duszy odczuwał ten krok jako niewdzięczność z mej strony wobec niego.

Decyzja porzucenia zawodu prawniczego i adwokackiego nie została powzięta bez ciężkich wewnętrznych zmagania. Bądź co bądź porzucałem zawód, w którym osiągnąłem był pewne sukcesy i który mi dawał niezależność materialną. Jak będzie w przyszłości tego przewidzieć z góry nie mogłem i uzasadnione mogły być wątpliwości, czy materialnie podołam wymogom życia, a nade wszystko czy potrafię osiągnąć w pracy naukowej poziom, który by stanowił rekompensatę porzuconych przeze mnie życiowych innych wartości. Wiedziałem, że tylko bardzo intensywna praca naukowa może mnie wyzwolić od tych trapiących mnie wątpliwości i do niej zabrałem się też z całą energią, na jaką mnie wówczas stać było. Miałem podówczas lat już blisko 50.

Zawód prawniczy związał mnie węzłami ścisłej przyjaźni z jednym tylko człowiekiem. Jan Morawski był mym kolegą w czasach praktyki sądowej we Lwowie, uczyliśmy się razem do egzaminów rygorozalnych. Zgodność usposobień i poglądów na życie, wzajemna sympatia trwale nas ku sobie popychała. Miałem też w nim przez całe życie przyjaciela najbardziej zaufanego i najlepiej wzajemnieśmy się rozumieli. Człowiek niezmiernie prawy, a równocześnie głęboko bezstronny, był czas jakiś kierownikiem ministerstwa sprawiedliwości, potem sędzią Trybunału Administracyjnego i z tego stanowiska ustąpił, nie mogąc pogodzić swego sumienia z praktykami, jakie tam nastąpiły w okresie rządów Piłsudskiego.

Moje stanowcze przechylenie się ku naukowej wyłącznie pracy datuje się od r. 1925. Napisałem wówczas nie wielką rozmiarami rzecz „*Kolekcjonerstwo Stanisława Augusta*”, która jednak przyniosła mi wewnętrzne zadowolenie i zachęciła do dalszej pracy nad epoką stanisławowską i kulturą artystyczną tych czasów w Polsce. Praca ta sprawiła, że poczułem się na siłach i mogłem ulec od dawna tkwiącemu we mnie wewnętrznemu pragnieniu poświęcenia reszty życia pracy naukowej. Miałem już na myśli opracowanie dziejów galerii Stanisława Augusta i zbierałem materiały do tego tematu. Równocześnie pociągały mnie zabytki lwowskie i epoka baroku i rokoka, która we Lwowie pozostawiła wybitne dzieła architektury, zdawała mi się godną opracowania. Pracę nad tymi tematami przerwała tylko podróż latem 1925 do południowej Francji, krótki wypoczynek nad morzem i podróż po raz pierwszy do Hiszpanii.

Zbieranie materiałów do dziejów kultury artystycznej epoki stanisławowskiej powodowało me częste stosunkowo podróże do Warszawy i Krakowa, konieczność dotarcia do niewyzyskanych dotąd źródeł archiwalnych tej epoki, często w posiadaniu prywatnym, trudno dostępnych. Zwłaszcza wiele trudności miałem z dostaniem się do archiwum w Jabłonie. Wiedziony jakimś przeczuciem domyślałem się, że ono właśnie będzie zawierać najwięcej ważnych dla mnie materiałów i w tym nie zawiodłem się. Uzyskawszy po długich zabiegach zezwolenie właściciela na korzystanie z tego archiwum, kilkakrotnie czas dłuższy przebywałem w Jabłonie, przewertowując sam nie uporządkowane fascykuly, przedzierając się przez ogrom materiału, niełatwego do ogarnięcia. Wydatną pomoc w zbieraniu materiałów i fotografii otrzymałem od kolegi z ławy szkolnej i przyjaciela lat młodych Kazimierza Brokla, kustosa zbiorów państwowych, znajdujących się na zamku warszawskim. Marian Morelowski postawił do mej dyspozycji swe materiały, dotyczące zbiorów Stanisława Augusta, zgromadzone w toku prac dla Komisji Rewindykacyjnej, traktującej po pokoju ryskim o zwrot polskiego mienia kulturalnego z Rosji.

W r. 1926 wybrany zostałem członkiem Komisji Historii Sztuki Pol. Akademii Umiejętności i wkrótce potem przedstawiłem na jej posiedzeniu po raz pierwszy mą pracę. Był nią „*August Moszyński*”. Odtąd też datują się moje związki naukowe z Krakowem i Akademią Umiejętności względnie jej Komisją Hist. Sztuki i jej kolejnymi przewodniczącymi a zarazem redaktorami wydawnictwa „Prac Kom. Hist. Sztuki”, Tomkowiczem i Pagaczewskim. Prace moje przedstawiałem na posiedzeniach bądź krakowskiej Komisji Hist. Sztuki, o ile one dotyczyły ogólniejszych tematów, bądź na Sekcji Hist. Sztuki lwowskiego Towarzystwa Naukowego, o ile szło o tematy szczególnie lwowskie. Kilkakrotnie też zgłaszałem opracowane przeze mnie tematy w Towarzystwie Naukowym Warszawskim, o ile one dotyczyły znów warszawskiego środowiska kulturalnego w dziejach historii sztuki w Polsce.

Przed ważną i trudną decyzją stanąłem wobec propozycji habilitowania się z historii sztuki na uniwersytecie warszawskim. Nie wysunął tej propozycji wobec mnie oficjalnie przyjaciel Zygmunt Batowski, zwyczajny profesor tego przedmiotu w Warszawie, krępowany może właśnie przyjaźnią osobistą ze mną, lecz w porozumieniu z nim profesor historii filozofii i estetyki tegoż uniwersytetu, Władysław Tatarkiewicz, pracujący również na polu historii sztuki. Batowski był może krępowany także względami na swych uczniów, przygotowujących

się do docentury i liczących w tym na poparcie swego profesora. Na propozycję tę odpowiedziałem odmownie. Zdawałem sobie sprawę z tego, że praca pedagogiczna na uniwersytecie i przygotowywanie wykładów, oraz prowadzenie ćwiczeń, zbyt mnie będą pochłaniać, bym mógł znaleźć dość czasu na pracę twórczą, na poszukiwania źródłowe i opracowywanie nasuwających się tematów. Miałem w tym zresztą przykład znanych mi dobrze profesorów historii sztuki polskich uniwersytetów, na ogół niezbyt naukowo produktywnych, pochłanianych pracą uniwersytecką. Wolałem nie rozpraszać się, lecz prowadząc pracę wyłącznie badawczą doprowadzić do jakichś rezultatów ściśle naukowych. Tzw. kariera uniwersytecka nie nęciła mnie specjalnie. Mało miałem na ogół zmysłu pedagogicznego i ta strona działalności naukowej również nie przedstawiała dla mnie atrakcji. Wiedziałem zresztą, że pewna część uniwersyteckich naukowców zawsze będzie mnie uważać za dyletanta i intruza w sferze nauki, ponieważ nie przeszedłem normalnych szczebli wykszolenia naukowego. Wiedziałem też, iż żeby braki te nadrobić tym usilniej muszę pracować i wykazać się pokazniejszym niż oni dorobkiem. Jakkolwiek praca ściśle naukowa, badawcza była najbardziej wyężdżająca, pociągała mnie ona zawsze najwięcej. Wszystko to wpłynęło na mą decyzję w kierunku negatywnym i uniwersyteckim naukowcem nie zostałem, mimo ułatwień, jakie daje warsztat naukowy przy katedrze uniwersyteckiej.

Najbardziej wydatny w naukowe plony był dla mnie r. 1932, w którym wyszła drukiem moja „*Galeria Stanisława Augusta*”, a równocześnie „*Lwowskie kościoły barokowe*”. Inicjatorem wydawnictwa „*Galerii*” był dyrektor Ossolineum Ludwik Bernacki i kosztem Zakładu Nar. im. Ossolińskich praca ta została wydana drukiem. Związki moje z Ossolineum trwały jeszcze od czasów akademickich, kiedy pracowałem w bibliotece jako jej tzw. stypendysta. Kiedy w r. 1927 obchodzono 100 - letnią rocznicę istnienia Zakładu Nar. im. Ossolińskich, do rządu wydawnictw z tej okazji podjętych należały także moje dzieje gmachu tego Zakładu, praca pozostająca zresztą w związku z dawniejszymi „*Początkami nowożytnego Lwowa*”, o której już wyżej wspomniałem. Znow z inicjatywy Bernackiego, kiedy Ossolineum podjęło myśl uczczenia rocznicy Ignacego Krasickiego, napisałem do księgi pamiątkowej zjazdu naukowego zwołanego pod tym wezwaniem, artykuł o kolekcjonerstwie Krasickiego.

Ciekawe było odnoszenie się różnych przedstawicieli nauki w dziedzinie historii sztuki do rezultatów mej pracy badawczej. Zygmunt Batowski nie szczędził mi nigdy słów życzliwej krytyki, za którą mu zawsze byłem wdzięczny i którą uważać musiałem za rzeczową. Inny

profesor uniwersytetu, Wł. Podlacha, z którym łączyły mnie dawne dobre stosunki, nie mógł pogodzić się z tym, by w nauce miał zajmować pewne stanowisko ktoś, kogo uważał za dyletanta, „przedstawiciela sfer kolekcjonerskich”, jak mnie nazywał i którego prace jak sądził można było traktować tylko z życzliwą pobłażliwością. Sprawę jego osobistego stosunku do mnie skomplikował fakt, że jednemu ze swych uczniów przeznaczał Podlacha rolę zajęcia się specjalnie zabytkami lwowskimi. Moje prace z tego samego zakresu stanowiły dla tego młodego historyka sztuki niewygodną konkurencję i ubiegały zamierzone przez niego wydawnictwa. Rozpoczęły się zatem intrygi i krytyka mojej działalności ze strony młodego człowieka, z natury nietaktownego, po cichu popierane przez jego profesora. Czas długi starałem się nie zwracać na to uwagi.

Istniał może jeszcze inny moment, który powodował nieżyczliwe ustosunkowanie się do mnie niektórych profesorów. Wyczuwano może, że sam fenomen tego rodzaju, że ktoś bez przebytych prawidłowych studiów uniwersyteckich wysuwa się ponad tych, którzy je mają za sobą, stanowi krytykę jeśli nie systemu studiów, to w każdym razie krytykę profesorów uczących na uniwersytecie, którzy nie potrafili wykształcić pracowników naukowych wśród swoich uczniów lub pobudzić ich do pracy bardziej twórczej.

Na pierwszym zjeździe polskich historyków sztuki, mającym na celu założenie Związku polskich historyków sztuki, który się odbył w Krakowie w jesieni 1935 wywołałem sam mimo woli przeciw sobie akcję młodszego pokolenia historyków sztuki, którzy sądzili, że nadeszła pora, by w sprawach dotyczących nauki w naszej specjalności oni decydowali. Zaznaczyła się też z ich strony pewna tendencja polityczna, zapewne inspirowana ubocznie, tendencja nadania Związkowi znamion zawodowości w rozumieniu doktryny marksistowskiej. Podnosząc sztandar zawodowości rachowali młodzi warszawscy historycy sztuki na opór krakowskiego środowiska naukowego, który w tym wypadku raczej zachował się biernie. Natomiast zdecydowanie przeciw ich koncepcji wystąpiłem ja i z Krakowa Gąsiorowski, przy słabym poparciu niektórych lwowskich historyków sztuki. Wywołałem tym ataki przeciw mnie. Wobec większości młodych, sprawa po naszej stronie była z góry przegrana, jednakże opór z naszej strony zreflektował ich nieco i w rezultacie sprawa związku zawodowego, jakkolwiek oficjalnie przez walne zebranie aprobowana większością głosów, w ułożonym przez nich statucie została wstydliwie przytłumiona. Nie mogli mi jednak młodzi warszawscy historycy sztuki przebaczyć zdecydowanego negatywnego stanowiska i usunięcia się późniejszego od udziału w związku, lecz postanowili

zwalczać mnie i starać się krytycznie ustosunkowywać także do mych prac naukowych, co miało się też wielokrotnie jeszcze w przyszłości zaznaczyć.

Zakres moich badań zresztą był dość wąski i skromny, a tylko sam temat sprawiał, że stopniowo go musiałem rozszerzyć.

Prace moje badawcze szły w dwóch szczególnie kierunkach. Przedmiotem ich była w dalszym ciągu z jednej strony kultura artystyczna epoki stanisławowskiej w Polsce, z drugiej strony zaś zabytki dawnego Lwowa i sztuka tego miasta, w którym stykały się wpływy kultur zachodu i wschodu. Zamiarem moim było w szeregu mniejszych rozpraw przygotować teren do przyszłych szerszych monografii w jednym i drugim zakresie. By zdać sobie sprawę ze sposobu myślenia ludzi epoki stanisławowskiej podjąłem pracę „*O poglądach na sztukę w czasach Stanisława Augusta*”. Poszczególne kierunki działalności króla obejmowały me prace „*Galeria Stan. Augusta*”, „*Kolekcjonerstwo Stan. Augusta*”. Rolę w tym jednego z bliskich królowi określać miała monografia „*August Moszyński jako architekt*”. Zamierzałem napisać monografię o zbiorze rzeźb królewskich, co jednak ograniczyć musiałem na razie do mniejszych rozprawek jak „*Rzeźby portretowe w brązie na zamku warszawskim*”, „*Pigmalion i Galatea*” (Dawna Sztuka r. II). Badań mych w tym kierunku nie uważam za zamknięte, jakkolwiek później bardziej zajęły mnie tematy lwowskie, zmierzające do ogarnięcia całokształtu dziejów kultury artystycznej rodzinnego miasta. Szerzej zakrojoną monografię przygotowywały mniejsze rozprawy i artykuły.

Mając przed sobą zabytki architektury lwowskiej, nietknięte niemal przez badaczy, zająłem się lwowskimi kościołami barokowymi, poświęcając im jedną z dawniejszych mych prac (1932), uzupełnioną potem rozprawką o lwowskim kościele Bernardynów (czasop. Dawna Sztuka t. II) i monografię o architektach Bernardzie Meretynie i Piotrze Ricaud de Tirgaille, spoczywającą na razie w rękopisie, a przeznaczoną do ogłoszenia po wojnie. Od dawna nęciło mnie też rozwiązanie zagadki wspaniałej, wysokiego poziomu artystycznego lwowskiej rzeźby rokokowej, na którą promień światła rzuciła praca Bochnaka. W szeregu wycieczek po Małopolsce Wschodniej w towarzystwie fotografa zbierałem przez lat kilka materiały, które opracowane zostały w książce p.t. Lwowska rzeźba rokokowa (1937). Kiedy w Archiwum Nieświeskim w Warszawie szczęśliwym zbiegiem okoliczności wpadł mi i ręce rękopis z rachunkami budowli prowadzonych we Lwowie kosztem króla Jana III, mogłem na jego podstawie opracować artykuł p.t. Budownictwo Jana III we Lwowie, ogłoszony w czasopiśmie „*Ziemia Czerwieńska*”. Całość badań nad lwowską sztuką i kulturą artystyczną pragnąłem zamknąć w

książce „*Dawny Lwów jego sztuka i kultura artystyczna*”. Praca ta miała być publikowana przez Pol. Akademię Umiejętności ku uczczeniu 600-letniej rocznicy przyłączenia Lwowa do Polski za Kazimierza Wielkiego i ukazać się miała jesienią 1940 r. Klisze do ilustracji były już prawie w całości przygotowane i połowa rękopisu oddana do druku, kiedy wybuch wojny przeszkodził dalszym pracom nad wydaniem tej książki.

Studia nad sztuką lwowską i wzajemnym krzyżowaniem się wpływów kultur artystycznych Zachodu i Wschodu zaprowadziły mnie na drogę badań nad sztuką wschodu mahometańskiego i rolę, jaką ona odegrała w Polsce. Rozpocząłem od zabytków ormiańskich, opracowując „*Sztukę Ormian lwowskich*”.

Praca ta dotyczyła zrazu samej tylko katedry ormiańskiej we Lwowie. By rozwiązać zagadkę jej genezy zacząłem jak zwykle od poszukiwań archiwalnych, by stwierdzić opłakane losy ormiańskiego archiwum katedralnego. Stąd powstał ogłoszony w czasopiśmie „*Archeion*” artykuł o dziejach tego archiwum, stąd też wynikła konieczność przeprowadzenia badań w Wiedniu w bibliotece zakonu Mechitarystów. Praca rozszerzała się w ten sposób na inne dziedziny artystycznej kultury dawnej kolonii ormiańskiej we Lwowie. Dla zaznajomienia także świata ormiańskiego z wynikami badań napisałem artykuł przetłumaczony na język ormiański i ogłoszony w czasopiśmie „*Handes Amsorya*”.

Związki handlowe lwowskich Ormian ze wschodem muzułmańskim i ich rola pośrednicząca między Polską a Turcją i Persją spowodowały rozszerzenie moich badań w tym kierunku. Równocześnie z materiałami do pracy nad sztuką Ormian lwowskich zbierałem też materiały do badań nad rolą sztuki Islamu w Polsce w w. XVII i XVIII. Jeden temat wysnuwał się z drugiego i był niejako naturalną jego konsekwencją. Do podjęcia tego ostatniego tematu zachęcało mnie dawne moje umiłowanie wschodnich tkanin. To spowodowało, że w pracy o sztuce Islamu w Polsce zwróciłem szczególnie uwagę na genezę pasów polskich i tzw. persjarstwo. Z poruszenia tematu stosunku pasów wschodnich do pasów polskich wynika potem monografia „*Pasy polskie*”. Ponieważ sztuką wschodu muzułmańskiego zajmuje się przede wszystkim świat naukowy anglosaski, przeto stąd wynikły znów artykuły ogłaszane w czasopismach „*Ars Islamica*”, „*Bulletin of Iranian Art and Archeology*” i w zbiorowym wydawnictwie monumentalnym „*Survey of Persian Art*” pod redakcją A. Upham Pope’a.

Dalszym etapem tych studiów było zajęcie się problemem tzw. sarmatyzmu w Polsce. O stosunku sarmatyzmu do sztuki islamu z jednej, a

zachodniego baroku z drugiej strony pisałem poprzednio. Określić pojęcie sarmatyzmu starałem się też w „*Poglądach na sztukę w czasach Stanisława Augusta*”. Szerzej ująć ten problem usiłowałem w pracy przygotowanej w rękopisie bezpośrednio przed wybuchem wojny. Jeszcze jedną odnogę mej działalności naukowej stanowią studia nad sztukami zdobniczymi w Polsce, szczególnie tkactwem i ceramiką. Stąd wynikła praca o „*polskich kobiercach wełnianych*”, „*królewskiej fabryce farfurowej w Belwederze*”, ogłoszona po francusku rozprawa o roli tkacza François Selimand (*La France et la Pologne t. II*) i nie ogłoszona na razie, lecz przygotowana do druku „*Dzieje wytwórni ceramicznych w Glinisku i Żółkwi*”.

We współpracy z M. Gębarowiczem powstała rozprawa „*Arrasy Zygmunta Augusta*” (*Rocznik Krakowski t. XXIX*). Jednym z celów wspólnej naszej w r. 1930 podjętej podróży po Hiszpanii było zbadanie analogicznych do zbioru arrasów na Wawelu seryj tkanin arrasowych w bogatych zbiorach hiszpańskich. Rozdziały IV i V w tej rozprawie są pióra M. Gębarowicza, rozdziały zaś I — III i VI — VIII mojego.

Wytworzyłem sobie stopniowo pewną technikę pracy, odpowiadającą może mej fizycznej konstytucji. Przy biurku pracowałem zwykle od wczesnego ranka do godziny 10 i po południu, kończąc pracę umysłową najpóźniej około godziny 8 wieczorem, gdyż dłuższe wyężenie umysłu powodowało bezsenność. Resztę ranka spędzałem zwykle w archiwach i bibliotekach. Żmudne badania archiwalne dają rezultaty, o ile ktoś orientuje się, gdzie czego szukać i badania umie prowadzić celowo. Nieraz jakieś znalezione w tekście rękopiśmiennym zdanie czy nawet słówko rozjaśniało od razu całe ciemne dotąd zagadnienie, wynagradzając tym samym szereg dni bezskutecznego wertowania starych rękopisów. Dawało mi to, nie dające się z niczym porównać chwile wewnętrznego zadowolenia. Innego rodzaju rozkosz badacza, to tworzenie z zebranych materiałów konstrukcji, która ujmowała całość harmonijnie co do formy zarówno jak i wewnętrznej przenikającej ją logiki i konsekwencji. Pracy na podstawie zebranego materiału nie umiałem nigdy napisać od jednego rzutu, lecz gdy już materiału starczyło na stworzenie jednolitej konstrukcji, szkicowałem ją w zarysie i niektórych ważnych szczegółach pozostawiając całość do licznych i długo trwających nieraz uzupełnień i polerowań, a często i zmian, w miarę kiedy uzupełnienia materiału tego wymagały. Pisać starałem się możliwie jasno i po prostu, bez silenia się na wyszukany styl i unikając przeładowania naukowymi terminami.

Mimo, że niegdyś pod kierunkiem Balzera ciągnęło mnie ku wiekom średnim, przeważył później wpływ Batowskiego i w historii sztuki pociągnęły mnie bardziej epoki nowsze, baroku i klasycyzmu i przy nich

już pozostałem. Epoka Stanisława Augusta była niegdyś przedmiotem znawstwa i źródłowego odczytania mego dziadka Łozińskiego i w dzieciństwie jeszcze pochłonałem sporo książek historycznych z jego biblioteki, dotyczących tego okresu. To też łatwo było mi wżyć się w tę epokę i zorientować się w jej dziejach sztuki i kultury artystycznej. Grupowanie materiału w umyśle i rozwiązywanie problemów naukowych w myślowym procesie ułatwiała mi żywsza może niż przeciętna wyobraźnia, nasuwająca obrazy całokształtu zagadnienia na podstawie nieraz tylko fragmentarycznych danych, uzupełnianych w wyobraźni, miarkowanej przyzwyczajeniem do ścisłości i prawniczym sposobem ujmowania zagadnień. Nie miałem natomiast nigdy skłonności do abstrakcyjnego rozwiązywania problemów. Czytanie dzieł filozoficznych nie wykształciło we mnie filozoficznego sposobu myślenia i nie starałem się też zastosować go w mych pracach, pozostając przy historycznym sposobie ujmowania tematów.

Zdawałem sobie z tego sprawę, że historia sztuki wymaga w wielu kierunkach odmiennych metod od historycznych, że konieczność wysnucia wniosków z samych dzieł sztuki zbliża ją bardziej do nauk filologicznych. Filolog, prof. Nitsch w rozmowie raz podkreślił, że w mych pracach ten filologiczny punkt widzenia przeważa. Nie tu miejsce zresztą na rozważanie zagadnienia metody historii sztuki.

Kierunek mych badań dotykał w przeważnej części zagadnień, wiążących się ze ścieraniem się dwóch kultur, Zachodu i Wschodu. I dziś, kiedy patrzę z bliska na zmagania wojenne obecnej chwili, zwłaszcza na wypadki dające się odczuć na naszym terenie, widzę w nich odłam tego wielowiekowego procesu, który uchwycić starałem się w jego niektórych cząstkowych przejawach na polu kultury i sztuki. Są to tylko okruchy w porównaniu do ogromu samego zagadnienia, tak mało dotąd zbadanego.

Praca naukowa stała się stopniowo potrzebą mego życia. Nie wiem jak to uzasadnić psychologicznie, lecz nie pojmowałem znajomych mi historyków sztuki na których życie patrzałem z bliska, którzy do pracy naukowej twórczej zasiadali tylko pod zewnętrznym przymusem wywiązania się z zobowiązania na zamówienie terminowe i to zazwyczaj dopiero na krótki czas przed upływem terminu, lub dla osiągnięcia wydaną pracą jakiegoś innego celu, w związku z karierą uniwersytecką. Dla mnie codzienna praca naukowa, posunięcie jej i, jakimś kierunku naprzód, czy to w zbieraniu materiałów, czy to w pracy konstrukcyjnej, było czymś istotnym i niezbędnym, była celem samym dla siebie. To też dziś, kiedy w wojennych warunkach zmuszony jestem do jej zaniechania, nie mogąc ani prowadzić badań archiwalnych, ani na ich podstawie snuć dalej myśli

twórczej nie mówiąc już o porównawczych studiach samych dzieł sztuki — czuję się wykolejony i pozbawiony celu w życiu, które ucieka przede mną z każdym rokiem przedłużającej się wojny. Nie mam już wiele czasu przed sobą i widzę zmarnowany bezpowrotnie długi szmat czasu, który mógłby być poświęcony pracy.

Prace moje dotyczyły przede wszystkim dziejów dawnej kultury artystycznej w Polsce i widocznie przynosiły jakieś rezultaty nauce, skoro grono członków Polskiej Akademii Umiejętności, której członkiem korespondentem zostałem w r. 1932, postawiło mnie w rządzie kandydatów na jej członka czynnego. Nie wiem, czy szczere przekonanie, że nie jestem tego godny, czy też zawiść i może zawiedzione ambicje osobiste spowodowały jednego z historyków sztuki do akcji przeciw mnie na terenie Akademii za pośrednictwem zaprzyjaźnionego z nim a będącego członkiem Akademii innego znów z profesorów lwowskiego uniwersytetu. Główny zarzut skierowany przeciw mnie był ten, że nie jestem historykiem sztuki, lecz tylko historykiem kultury artystycznej, tak jakby kierunek badań miał mieć jakieś znaczenie, jeśli rezultaty prac były istotne. Postanowione zostało też przez mego przeciwnika izolowanie mnie w łonie lwowskiego Towarzystwa Naukowego i odsunięcie od prac wydawniczych jego Sekcji Historii Sztuki. Nie odpowiadało memu usposobieniu pozwolić na to, by być biernym narzędziem intrygi. Wolałem sam usunąć się od współpracy w lwowskim Tow. Naukowym, lecz wyjść stamtąd z głośnym trzaśnięciem drzwiami. To też na ręce prezesa Tow. Nauk. Bujaka złożyłem pisemne oświadczenie o mym usunięciu się od prac w Tow. Nauk.

Szczegóły te na ogół niewielkiego znaczenia, mówiące o niskich pobudkach rządzących ludźmi nauki, przytaczam z jednej strony dla odmalowania stosunków lokalnych lwowskich, z drugiej zaś dla zaznaczenia, na jakie trudności ze strony mniej produktywnych jednostek napotykała wydatna praca naukowa innych. Miłe stosunki osobiste łączyły mnie stale z krakowskim środowiskiem naukowym. Zarówno wśród tamtejszego grona historyków sztuki, jak i naukowców z innych zakresów, z którymi się stykałem, znajdowałem poziom czysto naukowy, wolny od intryg, a przynajmniej nie było mi dane zetknąć się z nimi. Osobiście wiele zawdzięczałem obu przewodniczącym Komisji Historii Sztuki w Akademii Umiejętności Tomkowiczowi i Pagaczewskiemu. Niezmierną uczynnością i bezinteresownością odznaczał się sekretarz Komisji docent Bochnak. Z profesorem archeologii klasycznej Gąsiorowskim łączyła mnie przyjaźń, zawarta w czasie wspólnej podróży po Grecji w r. 1927 i t.d. Wiele życzliwej pomocy doznałem od orientalisty prof. Tadeusza Kowalskiego w

mych pracach dotyczących sztuki wschodu muzułmańskiego i odtąd datują się nasze przyjazne stosunki. Przyjacielem moim od ławy szkolnej jest historyk Wład. Semkowicz profesor uniwersytetu Jagiellońskiego.

W warszawskim środowisku naukowym mam przyjaciół w osobach Zygmunta Batowskiego i Władysława Tatarkiewicza. Wprost niezyczliwi są mi niektórzy przedstawiciele młodszego pokolenia, którzy nie mogą mi zapomnieć wystąpienia zdecydowanie ich tendencjom przeciwnego na zjeździe krakowskim w r. 1935. Lecz z młodszymi historykami sztuki Stanisław Lorentz kierownik warszawskiego Muzeum Narodowego powołał mnie, kiedy szło o ułożenie przewodnika po dziale sztuk zdobniczych tegoż Muzeum i odnosił się do mnie zawsze życzliwie i w obiektywny stosunek innych nie mam powodu wątpić.

Pamiętniczek ten jest czysto osobistym moim wypowiedzeniem się, pisany bez myśli ogłoszenia go kiedykolwiek i dlatego mówię w nim o moich stosunkach z ludźmi pod osobistym kątem widzenia. Zdaję sobie przy tym sprawę, dlaczego wielu mam ich mało życzliwych. Zawód adwokacki, niezależność będąca podstawą jego wykonywania w wyższym pojmowaniu jego celów, wyrobiły we mnie poczucie bezkompromisowego traktowania spraw, odwagi przekonań i zwyczaj otwartego ich wypowiadania. Ponieważ w świecie naukowym nie zajmowałem stanowiska oficjalnego, profesorskiego, przeto nie potrzebowałem też liczyć się z względami ubocznymi, które nieraz tak znaczną ogrywiają rolę i powodują u wielu ludzi utylitaryzm przekonań i opinii. Że takim nie byłem, tem zrażałem sobie wielu.

W r. 1937 dojrzała myśl wydawania we Lwowie czasopisma naukowego „*Dawna Sztuka*”. Inicjatorem był Gąsiorowski i on to o potrzebie tego wydawnictwa zdołał przekonać Ant. Lewaka, kierownika Wydawnictwa książek Szkolnych przy Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich, które przejęło na siebie finansowanie czasopisma. Redakcja oddana została w ręce Gębarowicza, Gąsiorowskiego i moje.

Staraniem naszym było postawić kwartalnik na możliwie wysokim poziomie. Lecz nie obeszło się znów bez tak charakterystycznych w naszych stosunkach przykrości. Zakład historii architektury polskiej Politechniki Warszawskiej wydawał już od lat kilku czasopismo wychodzące kwartalnie „*Biuletyn Historii Sztuki*” i uważał podjęcie przez nas wydawnictwa kwartalnika za konkurencję dla siebie. Mimo wyraźnego ograniczenia przez nas zakresu tematowego do „*dawnej sztuki*”, zaś ze strony redakcji „*Biuletynu*” uwzględniania przede wszystkim rozpraw z historii architektury, zasłużony wydawca warszawskiego kwartalnika prof. Sosnowski dał nam odczuć oficjalnie swą niechęć i miała się ona

zaznaczyć także później, kiedy podjęliśmy starania o subwencję dla naszego wydawnictwa w Funduszu Kultury Narodowej. Sprawy redakcyjne przynosiły nie tę jedną tylko przykrość; było ich więcej, lecz zarazem dawały przyjemność w poczuciu, że zdołaliśmy w czasopiśmie naszym w krótkim czasie skupić najwybitniejszych pracowników i że tak co do treści jak i formy wydawniczej stało ono wysoko.

Ostatnia moja przed wojną podróż była do Rosji Sowieckiej, w związku z wzięciem udziału w międzynarodowym kongresie historyków sztuki Iranu. Krótki pobyt w Moskwie i Leningradzie pozwolił mi poza zwiedzeniem tamtejszych zbiorów sztuki, zorientować się nieco w stosunkach życiowych, panujących w ustroju sowieckim. Znajomość języka rosyjskiego nabyta w czasach okupacji Lwowa przez wojska carsko - rosyjskie i ówczesne odczytanie w dziełach rosyjskiej literatury, łącznie z zaznajomieniem się z sowieckimi warunkami egzystencji, pozwoliło mi w r. 1939 - 41 uchronić się od możliwie fałszywych kroków i przeżyć trudny ten okres życia. Wiedziałem, że aby ująć cało i móc przetrwać bez większego niebezpieczeństwa, muszę uzyskać znanie oficjalnie pracującego. Praca naukowa bowiem poza ramami urzędowymi w Rosji Sowieckiej nie jest uznawana. Gębarowiczowi zawdzięczam przyjęcie mnie zaraz w początkach sowieckiej okupacji w poczet pracowników Ossolineum, w którym przekształconym na Filię biblioteki Kijowskiej Akademii Nauk zajęty byłem jako bibliotekarz pod sowieckimi rządami. Moje wspomnienia i refleksje z tego czasu zawarłem w osobno spisanych notatkach „*Ossolineum pod rządami sowieckimi*”.

Nie wiem, jak każdy z nas zresztą w obecnej chwili trwającej wojny, co mnie czeka i czy będę jeszcze w przyszłości pracować naukowo. To też spoglądając wstecz na mój dotychczasowy dorobek naukowy zadaję sobie pytanie, czy rezultaty pracy mej byłyby większe, gdybym był szedł normalną drogą i od razu studia uniwersyteckie rozpoczął od historii sztuki, przechodząc kolejno stopnie wykształcenia fachowego w tym kierunku? Przyjaciel mój, Władysław Semkowicz wspominał mi raz, że w gronie krakowskich naukowców, gdzieś kiedyś, kiedy o mnie była mowa, zadawano sobie również takie pytanie. Odpowiedź na to jest trudna, gdyż nie można nigdy wiedzieć, co byłoby ... gdyby było inaczej. Nie ścisła logika wysnuta ze znanych przesłanek może tu dać odpowiedź, gdyż skomplikowane zagadnienia psychologiczne, jakie tu w grę wchodzi, czy też poplątane i wzajemnie przecinające się i zazębiające wpływy różnorodnych życiowych czynników, zbyt wiele w sobie zawierają niewiadomych i imponderabiliów. Lecz pytanie to drażni i niepokoi także mnie samego. Może pod tym względem ja sam dla siebie jestem zagadką i

ocenić się słuszną miarą nie potrafię. Mogę tylko powiedzieć, jak sam wyczuwam, iż być by mogło.

Byłbym prawdopodobnie słuchał na Uniwersytecie lwowskim wykładów i pozostawał pod wpływem profesora tego przedmiotu, Antoniewicza, człowieka niezwykle uzdolnionego, lecz mało ścisłego. Sądzę, że inny zgoła wpływ Balzera, jakiemu w tym czasie ulegałem i metoda badań historycznych nabyta pod jego kierunkiem więcej mi dała, aniżeli na estetycznych i literackich przesłankach oparty kierunek jaki reprezentował w swym czasie Bołoz - Antoniewicz. Studia prawnicze bardziej jeszcze wdrożyły mnie może do ścisłości myślenia, zawód praktyczny zaś, adwokacki, mógł przynieść życiowe kwalifikacje nie do pogardzenia także w zawodzie naukowym. Może dał mi on pewien nerw życiowy i większą śmiałość w rozwiązywaniu zagadnień, życiowych zarówno jak i naukowych, kiedy te drugie zastąpiły pierwsze, które rozwiązywać przychodziło mi przedtem codziennie. Nie przeceniam zupełnie mych zdolności i widzę, że wśród młodego pokolenia, zwłaszcza warszawskich historyków sztuki jest wielu wyżej uzdolnionych. Lecz praktyczny zawód prawniczy może przyniósł mi rychlej niż tylko naukowemu zawodowi oddanym, wcześniejszą dojrzałość sądu, górującą nad doktrynerskim sposobem rozstrzygania zagadnień.

Nie żałuję, że życie moje poszło innymi, niezwykłymi torami, jakkolwiek to co osiągnąłem tj. mój dorobek naukowy, o ile jest czegoś wart, kosztował mnie może wysiłku więcej, niż kogo innego byłby kosztował, — oczywiście caeteris paribus. Mam uczucie, że z tego, na co mnie było stać, dałem przez czas stosunkowo krótki możliwie wiele w służbie nauki polskiej.

Czerwiec r. 1942

Długi czas w mej pracy naukowej miałem anioła-stróża a zarazem mentora w osobie starszego ode mnie przyjaciela, Zygmunta Batowskiego. W udzielaniu pochwał był skąpy, nagan hojny. Ostry krytyk wytykał błędy, jednak nie zniechęcał do pracy, choć nie raz sceptycznie do niej się odnosił. Dla niego samego miało to może ten skutek, że nie pozostawił po sobie dorobku naukowego takiego, jakiego można było po nim się spodziewać. Twierdził nie raz, że nie ma celu pracować na dobry nekrolog. Pedagogiem był wybitnym i wychował szereg uczniów, tworzących dzisiejsze pokolenie polskich historyków sztuki. Do pewnego stopnia i ja się do nich zaliczam, choć wiekiem zbliżony raczej do mego preceptora, niż do jego uczniów. Wina to mej nieprawidłowej kolei życia jako naukowca.

Zamiłowanie do dziejów kultury artystycznej w. XVIII, które były także umiłowaniem Batowskiego zawdzięczałem po części jemu, po części tradycji rodzinnej i wpływom, jakie na mnie działały od dzieciństwa, wychowaniu w domu dziadka. Józef Łoziński był doskonałym znawcą epoki stanisławowskiej, jego prywatna biblioteka składała się w znacznej części z dzieł historycznych odnoszących się do tego okresu. Na najniższej półce otwartej szafy z książkami spędzałem całe godziny w niewygodnej pozycji z wyjętą z szafy książką w rękę. Najczęściej były to jakieś pamiątki z w. XVIII lub inna książka historyczna dotycząca tej epoki. Dziadek mój nie był też pozbawiony zmysłu piękna i zainteresowań artystycznych. Pierwsze moje wiadomości z historii sztuki zawdzięczałem fotografiom dzieł pędzla wielkich mistrzów, zebranych przez dziadka i literaturze Estetyki Lemcke'go (w polskim tłumaczeniu) streszczającej poglądy na sztukę w czasach schyłkowych klasycyzmu. Przyjaźń z czasów uniwersyteckich z Batowskim miała może podświadomie za tło te moje skłonności i zainteresowania, będące zarazem przedmiotem studiów Batowskiego. Później, wśród studiów prawniczych, do których nieraz trzeba się było zmuszać, historia sztuki stawała się światem zjawy piękna, siłą kontrastu tym bardziej pociągającym.

Batowski swym przyjaznym strofowaniem wskazywał odwrotną stronę medalu w zawodzie historyka sztuki, przestrzegał przed dyletantyzmem i nie szczędził ironii, budząc samokrytykę, której nie żałował także w odniesieniu do siebie samego. Zbyt często jednak powodowała ona u niego opadanie rąk i zaniechanie prac, które mogły być przynieść korzyści nauce. Przy wysokich kwalifikacjach umysłu i charakteru, pewne właściwe jego naturze wewnętrzne zahamowania wywoływały u mnie reakcję i na odwrót może siłą kontrastu pobudzały moją ambicję. Przy szczerzej obustronnej sympatii i przyjaźni nasz wzajemny stosunek na polu naukowym miał także drugą stronę. Przedstawiał się on czasem jako pewnego rodzaju walka, w najbardziej dodatnim tego słowa znaczeniu. Batowski rad był ograniczyć mnie w impulsach, chciał bym stał się historykiem sztuki lokalnej lwowskiej, może w typie Aleksandra Czołowskiego, podczas kiedy ja broniłem się przed zacieśnieniem. Horyzont sztuki lokalnej lwowskiej ukazywał mi w dalszej perspektywie wpływy sztuki muzułmańskiego

Wschodu na Polskę, pociągały mnie ku kulturze artystycznej czasów stanisławowskich dawne skłonności, jakie zawdzięczałem lekturze dzieł historycznych biblioteki dziadka w godzinach ukradzionych przygotowywaniu się do szkoły młodego studenta gimnazjalnego.

Zabytki Lwowa i urok, jaki one wywierały w bezpośrednim z nim obcowaniu wywoływały chęć przeniknięcia tajemnicy ich pochodzenia, ich genezy, wywołania na jaw atmosfery, w której powstały. Równo-etniczny dawny Lwów umiał pociągać umysł badawczy i to było powodem, że obok pierwszych moich prac dotyczących kultury artystycznej epoki stanisławowskiej powróciłem do badań kultury artystycznej dawnego Lwowa. Mówię o powrocie do badań i studiów, gdyż przedtem już sięgnąłem do tematu z tego zakresu (w sposób dość dyletancki) wyjaśniając genezę architektury nowożytnego Lwowa czasów końca w. XVIII i początków w. XIX (r. 1923: Początki nowożytnego Lwowa w architekturze).

Świątek lwowskich historyków sztuki w czasach przed pierwszą wojną światową był niewielki liczebnie, a i ten jeszcze dzielił się na dwa obozy wzajemnie odnoszące się do siebie nieprzyjaźnie. Grupa miejska, składająca się przeważnie z urzędników muzeów miejskich, z wykształcenia historyków, lub dyletantów na polu historii i kolekcjonerów, nieprzychylnie i zazdrośnie patrzyła na grupę uniwersytecką, fachowych historyków sztuki i nawzajem co ostatni odpłacali im lekceważeniem. Na czele pierwszej stał prezydent miasta, wytworny dyletant, Tadeusz Rutowski, sekundował mu historyk Czeławski. Na czele nielicznej drugiej grupy stał profesor Bołoz – Antoniewicz. Oscylować między jedną a drugą grupą nie było łatwe. Próbował tego do pewnego stopnia Batowski, z miernym powodzeniem.

Batowski zresztą, przez swą pracę o Norblinie i studia z zakresu sztuki epoki stanisławowskiej stał poza kręgiem lwowskich zainteresowań grupy badaczy lokalnej kultury, a w większej części raczej kolekcjonerów i amatorów. W czasie wojny i trwającej okupacji niemieckiej Królestwa (1917) powołany został na katedrę historii sztuki nowo organizującego się uniwersytetu warszawskiego. Wchłonęło go nowo tworzące się środowisko naukowe warszawskie, a węzły łączące go z lwowskim rozluźniły się. Wkrótce też po wojnie zmarł Antoniewicz, a następcą jego na katedrze historii sztuki lwowskiego uniwersytetu został Wład. Podlacha.

Moja praca na polu naukowym we Lwowie przypadła na czas, kiedy na uniwersytecie rozwijał już działalność Podlacha. Byłem też częstym gościem przy stoliku w cukierni przy którym nad czarną kawą wieczorem przesiadywał Podlacha, rzadko wymawiający skape słowa, ważący je z umiarem, najczęściej na tematy teoretyczne, zaczerpnięte z niemieckiej literatury naukowej, w której był pograżony. W życiu oryginał i dziwak, pracujący powoli, umiał jednak oddziaływać na uczniów, siłą sugestii stawał się dla nich jakimś rodzajem maga, który w ich pojęciu posiadał tajemnicę mistycznej wiedzy o sztuce. Zajmował się nimi szczerze i umiał do siebie przywiązać. Może mu się marzyło, by brak

własnej produkcji naukowej zastąpić zasługą stworzenia szkoły, która by zajaśniała doniosłymi rezultatami prac badawczych. Ale tego jednak nie zdołał wprowadzić.

W istocie rzeczy krąg wiadomości, w jakim się obracał jego umysł nie wychodził poza teorie niemieckich uczonych jednego pokolenia wstecz. Brak było Podlasze znajomości zagranicznych zbiorów, brak zapoznania się z inną prócz niemieckiej literaturą naukową. Pewna życiowa nieporadność i flegmatyczne usposobienie były mu przeszkodą w osiągnięciu zarówno wyższych kwalifikacji osobistych, jak i rozwinięcia na większą skalę produkcji naukowej. Lecz to niewiele co napisał było zawsze głęboko przemyślane i metodycznie ściśle ujęte. Także zasługi jego w wykształceniu młodej generacji historyków sztuki nie dadzą się zaprzeczyć, jakkolwiek nie miał tego szczęścia, by w gronie jego uczniów znalazły się wybitniejsze indywidualności, które by działalnością na polu naukowym miały zabłysnąć.

Znajomość nasza z Podlachą datowała się jeszcze od czasu studiów na uniwersytecie lwowskim i trwała przez czasy późniejsze. Uważał mnie zrazu za jednego z „kolekcjonerów i amatorów”. Stopniowo zyskiwałem w jego oczach rangę zbliżonego do grona oddanych mu uczniów, jednego ze „swoich”, jednak moje szybkie postępy w pracy naukowej niepokoiły go. Czy obawiał się, że mogę zdystansować jego uczniów i stać się dla nich jakąś przeszkodą w naukowej karierze tego nie wiem. Dość, że na terenie Sekcji historii sztuki lwowskiego Towarzystwa Naukowego, na którego posiedzeniach zwykle się było przedkładać referaty z rezultatów badań i osiągnięć naukowych, a której przewodniczącym po śmierci Pinińskiego został Podlacha, zacząłem odczuwać niespotykane przedtem przeszkody, które stawały się stopniowo coraz dotkliwsze i uniemożliwiały mi współpracę w Towarzystwie Naukowym lwowskim. Te niemiłe stosunki były powodem mego usunięcia się z pracy na terenie Sekcji historii sztuki Towarzystwa Naukowego.

Przewodniczącym Sekcji Historii Sztuki Towarzystwa Naukowego lwowskiego przed Podlachą był Leon Piniński. Sylwetkę jego z punktu widzenia historii sztuki skreśliłem po jego śmierci w tomie VII Prac Komisji Historii Sztuki PAU. Prawnik-romanista, polityk i mąż stanu epoki galicyjskiej był Piniński miłośnikiem sztuki, pragnącym jej upowszechnienia w społeczeństwie, jednym z inicjatorów akcji odebrania Wawelu z rąk austriackiej wojskowości. Przyjaciół Bołozza-Antoniewicza reprezentował pierwsze pokolenie historyków sztuki, którzy z amatorów stawali się fachowcami. Ludzie typu Pinińskiego zastępowali podówczas tworzący się dopiero element fachowo wykształconych historyków sztuki, jakiego nam czas długi brakowało. Nad fachowcami górowali oni ogólnym poziomem kultury i szerokim horyzontem myśli. Takim był w szczególności Piniński, który znawstwo, zwłaszcza sztuki Włoskiej, nabył w licznych podróżach. W pasji kolekcjonerskiej zawodziło go ono nieraz i bywało, że padał ofiarą chytrych antykwarzy. Mimo to kolekcja obrazów przekazana przez niego na Wawel, była jedną z najznacześniejszych w kraju, a

losami jej Piniński pokierował lepiej, niż poprzednik jego w zbieractwie Władysław Łoziński.

Świat lwowskich historyków sztuki był dość zróżnicowany. Element mieszczański w nim, pragnący reprezentować tradycje historycznej roli Lwowa, a na tym tle rozwijający dążenia do gromadzenia zbiorów, które by te tradycje ilustrowały i podtrzymywały, przedstawiali Rutowski a po nim Czeławski. Błąd ich tkwił w tworzeniu coraz to nowych muzeów, mnożeniu ich i rozdzielaniu zbiorów, zamiast ich komasowania, oraz w wyłączości, jaką dla siebie chcieli rezerwować w tym zakresie, a która prowadziła ich aż do otwarcia nieprzyjaznych stosunków z innymi grupami, jak stojąca bardziej na naukowym stanowisku grupą uniwersytecką.

Wszystko to zresztą rozgrywało się w niewielkiej bardzo skali, wśród grona niewielkiego osób, trochę na partykularzu.

Władysława Łozińskiego wówczas, w moich czasach lwowskich już nie było. Był on tym wielkim imieniem, na którego autorytet chętnie się powoływano, którego dar odtwarzania przeszłości Lwowa podziwiano, który jednak następców nie miał. Mógł nim może być Franciszek Jaworski, ten jednak zanadto był publicystą a mniej historykiem i dla rzeczy sztuki zrozumienia mu brakło.

Przejdźmy do młodszego pokolenia.

Szczera przyjaźń złączyła mnie z młodszym o wiele ode mnie historykiem sztuki Mieczysławem Gębarowiczem. Wybitnych zdolności i zalet charakteru, wrażliwy i może nawet przeczulony i przesubtelniony, o szlachetnych impulsach, a czasem nieuzasadnionych uprzedzeniach, pociągał mnie wszystkimi tymi cechami. Z wykształcenia był historykiem i zarazem historykiem sztuki, czynnym zarówno na jednym jak i drugim polu. Kiedy dla studiów sztuki średniowiecznej, w której się specjalizował Gębarowicz przebywał we Francji, porozumieliśmy się w drodze korespondencji i ułożyli projekt wspólnej podróży do Hiszpanii. Miała to być druga moja tam podróż, do której byłem zachęcony tym, co widziałem w czasie pierwszej, krótkiej w r. 1925. Namawiałem zatem Gębarowicza do wspólnego zwiedzenia ważniejszych zabytków tego kraju. Przyświecała mi przy tym myśl, czy na terenie Hiszpanii, tak bogatej w zbiory zabytkowych tkanin nie znalazł by się materiał porównawczy do studium wawelskiego arrasów Zygmunta Augusta. Zjechaliśmy się wczesną wiosną w Arles w południowej Francji i stamtąd wyruszyli nowo otwartą linią kolejową przez Pireneje na zwiedzanie niemal wszystkich większych centr sztuki w Hiszpanii. Podróż ta zbliżyła nas jeszcze więcej. Istotnie też udało się na półwyspie pirenejskim zebrać ilość materiału porównawczego do studium arrasów wawelskich, które Gębarowicz uzupełnił potem na terenie Niemiec w Stuttgardzie. Rezultatem była wspólna praca ogłoszona drukiem w XXIX tomie Rocznika Krakowskiego.

W r. 1937 zajęliśmy się wspólnie wydawnictwem finansowanego przez Ossolineum czasopisma „Dawna Sztuka”. Kwartalnik ten wychodził jednak

niecałe dwa lata, gdyż wybuch wojny przerwał dalszą jego publikację i mimo starań nie można było po wojnie doprowadzić do podjęcia go w zmienionych warunkach. Przeniesione do Wrocławia Ossolineum, po pierwszych rozmowach na temat wznowienia tego czasopisma odstąpiło od tej myśli, kiedy w Wrocławiu nie znalazł się historyk sztuki, który na miejscu mógłby poprowadzić wydawnictwo i objąć redakcję.

Gębarowiczowi zawdzięczam, że w r. 1939 znalazłem oficjalne zatrudnienie w Ossolineum, co było niezbędnym wymogiem przetrwania przez czas wojenny.

Od tragicznej kapitulacji Lwowa i zajęcia go przez armię czerwoną, po moment wyjazdu z rodzinnego miasta (29 kwietnia 1945), lat 4 i 9 miesięcy spędziłem w nerwowym napięciu i niepewności, wewnętrznej szarpaninie, wśród krótkich tylko rozjaśnień. Praca w Ossolineum nie stanowiła ich. Była ona dyktowana szczególnymi warunkami. Koniec 1939 i rok 1940 spędzaliśmy tam na gromadzeniu w bibliotece i w muzeum tego co dało się uratować jeszcze, na zwożeniu ze Lwowa i z prowincji książek i dzieł sztuki znajdujących się dotąd w rękach prywatnych właścicieli, którzy zagrożeni sami wywozem zgłaszali się, by zdeponować w Ossolineum to co uważali za cenne i godne tego. Rejestrowało się to i spisywało, zabezpieczało w sposób, jaki wówczas zdawał się nam najpewniejszy.

Równocześnie przychodziły zarządzenia nowych władz. To co dotyczyło odmiennej organizacji zbiorów, zawarłem w krótkim szkicu napisanym w r. 1941, w którym starałem się nakreślić tendencje, jakimi kierowały się rządy sowieckie w zakresie nauki i kultury. Notatki moje dotyczyły oczywiście tylko pierwszego okresu rządów tych od września 1939 do czerwca 1941.

Wśród osobistych moich przeżyć decydującym był niewątpliwie dzień, w którym wezwany zostałem do wydziału milicji przy ul. Akademickiej 28 celem przesłuchania dla stwierdzenia соцяльного происхождения, a więc faktów takich jak posiadanie realności miejskiej, co już samo przez się spowodować mogło i powinno było wywiezienie do Kazachstanu. Krótki pobyt w r. 1935 na międzynarodowym zjeździe historyków sztuki Iranu w Moskwie i w Leningradzie, to co tam widziałem i słyszałem, zorientował mnie w tym, jak mam się zachować wobec przesłuchujących mnie urzędników i jak trafić do ich schematu myślowego i ich kategorii myślenia, kierowanych formułkami. Zrazu chciano we mnie wmówić, że realność moją miejską odziedziczyłem po ojcu, co było nieprawdą, ale uchylenie tego z góry przesądnego faktu i wyperswadowanie go tępemu urzędnikowi nie było łatwe. Sprawa moja byłaby niewątpliwie przegrana, gdybym nie był umiał wyjęzyczyć się w języku rosyjskim. Po zachwianiu się przekonania co do odziedziczenia realności, a więc osłabieniu przynajmniej jeśli nie negacji znamion kapitalisty, przedstawiłem jak pracą naukową zyskałem środki na nabycie tej realności i jakoś zdołałem wzbudzić zaufanie w prawdziwość tych zapewnień, skoro wisząca nade mną groźba Kazachstanu, gdzie niewątpliwie byłbym złożył kości, jak tyłu innych,

została ode mnie odsunięta po dłuższej naradzie przesłuchującego mnie urzędnika z jakąś wyższą jeszcze figurą NKWD.

Kilkakrotnie skierowywał do mnie swych rosyjskich znajomych historyków sztuki zamieszkały od wielu lat w Moskwie Paweł Ettinger, pełniący urzędową rolę korespondenta i sprawozdawcy zagranicznych czasopism naukowych. Z Ettingerem pozostawałem od dawna w korespondencji i otrzymywałem od niego rosyjskie publikacje z zakresu historii sztuki w zamian za przysłane mu polskie wydawnictwa. Dzięki dość liczącym odwiedzinom Lwowa prace rosyjskich historyków sztuki miałem też sposobność stwierdzić różnice poziomu między naukowcami przybywającymi z Leningradu, Moskwy i Kijowa najniższego u tych ostatnich. Zdarzały się też zetknięcia przynoszące niespodzianki, odbijające od banalnego i urzędowego traktowania spraw. Takim była dyskusja z historykiem sztuki Żukiem, który znając moją pracę o lwowskiej rzeźbie rokokowej stwierdzał w rozmowie ze mną, że jej wpływy sięgały daleko za Dniepr i zaznaczały się w sztuce cerkiewnej lewobrzeżnej Ukrainy. Innym razem urzędniczka jednego z muzeów w Moskwie, której ofiarowałem odbitkę jednej z mych prac, kiedym prosił o przebaczenie jeśli w dedykacji po rosyjsku napisanej, o którą prosiła, jest jaki błąd, wskazała na słowo „Товарищке” przy swoim nazwisku, dając do poznania, że w głębi duszy nie jest komunistką. Pewnego rodzaju towarzyskie stosunki nawiązały się z przybyłym z Charkowa N. Ogranowiczem w dziwnej kombinacji docentem uniwersytetu języka i literatur francuskiej i angielskiej, a równocześnie adwokatem. W stosunkach rosyjskich było to jednak normalne. Obdarzony zdolnościami lingwistycznymi, w innych warunkach Ogranowicz byłby się może stał istotnie pracownikiem pracującym twórczo na polu naukowym. Przy braku ludzi z wyższym wykształceniem w Rosji a niskich płacach wykonywał on równocześnie różne zawody, traktując je wyłącznie z punktu widzenia korzyści materialnych. Rozmowy nasze prowadzone były po francusku, przychodził do nas dość często wieczorami i deklamował to rosyjskie, to znów francuskie wiersze, których na pamięć umiał mnóstwo. Byliśmy też raz u niego na przyjęciu na którym była także urzędniczka francuskiego konsulatu we Lwowie, inny francuz jeniec wojenny a zdolny malarz, który nie wiem w jaki sposób znalazł się we Lwowie, jego żona, Polka która wyszła za niego po to, by się wydobyć ze stosunków sowieckich i móc wyjechać za granicę, co się jej jednak nie udało. Przyjęcie w stylu sowieckim polegało na wódce w szklankach (nie kieliszkach) i kanapkach.

Tragicznym był dzień wkroczenia do Lwowa wojsk niemieckich wczesnym rankiem 22 czerwca 1941. Okna budynku Biblioteki Baworowskich, w której wówczas pracowałem, wychodziły na niewielki placzyk i skwer, przylegające do ul. Leona Sapiehy (w czasach sowieckich Komsomolskiej), przy niej zaś położony był budynek przedtem Komendy policji państwowej, z wkroczeniem wojsk sowieckich do Lwowa zamieniony na więzienie. Bokiem budynek ten zwrócony był do ul. Łąckiego i dlatego zwykle nazywano go wówczas więzieniem przy ul. Łąckiego; krótko mówiono o kimś „siedzi na

Łąckiego”. Z okien położonej naprzeciw, choć trochę ukośnie, Biblioteki Baworowskich w dniu tym spostrzegłem, że od wczesnego ranka, przed więzieniem poczęły się gromadzić tłumy. Więzienie było otwarte, ludzie wchodzili do budynku, by dowiedzieć się co się stało z ich bliskimi i znajomymi, o których wiedzieli, że przed opuszczeniem Lwowa przez władze sowieckie byli z jakiegokolwiek powodu aresztowani i „siedzieli na Łąckiego”. Wychodzono z budynku jednak ze zmienionym wyrazem z przerażeniem malującym się na twarzy. Wyszedłem z biblioteki by dowiedzieć się co się dzieje, kiedy spotkałem wychodzącą z gmachu więzienia Stefanę Skwarczyńską. Od niej dowiedziałem się, że cele więzienne pełne są trupów wystrzelanych więźniów. Przed opuszczeniem Lwowa funkcjonariusze NKWD z pepeszą w ręku (ręcznym karabinem maszynowym) otwarli drzwi celi stawali w niej i wystrzelili znajdujących się tam więźniów. Na wywożenie ich w głąb Rosji nie było środków transportowych, ani co ważniejsze – rozkazu. Widok pomordowanych masowo był tak okropny, że Skwarczyńska, na której twarzy zaznaczały się jeszcze przebyte wrażenia, radziła mi, abym sobie oszczędził nerwów i grozy widoku i nie szedł do wnętrza więzienia. Równocześnie zobaczyłem też nadchodzącą niemiecką komisję z kilku wyższych wojskowych, widocznie dla stwierdzenia stanu rzeczy.

Tego samego jeszcze dnia zobaczyłem prof. Adama Sołowija, jednego z nielicznych, którzy ocalili się. NKWD nie starczyło czasu na wystrzelanie wszystkich więźniów przy ul. Łąckiego i kilka cel wcale nie otworzyli. Siedzący w nich, aby się wydostać wyczołgali się przez rozszerzony własnymi rękami kanał w piecu, ogrzewanym od strony korytarza.

Podobnie jak w więzieniu przy ul. Łąckiego działało się przy ustępowaniu władz sowieckich i w innych więzieniach Lwowskich.

Nastąpiły potem rządy okupacyjne niemieckie. Nie zmieniły one niczego zasadniczego w tym, co zarządziły władze sowieckie, a tylko ogólne kierownictwo bibliotek i muzeów przeszło w ręce niemieckie, przy pozostawieniu dawnych pracowników. W lwowskim urzędzie gubernatorskim referentem spraw kultury był wiedeńczyk Gasselich, specjalnym referentem spraw bibliotecznych i archiwalnych w całym Generalgouvernement z siedzibą w Krakowie był Alb, przyjeżdżający od czasu do czasu do Lwowa, w samym Lwowie zaś rezydował w Bibliotece Uniwersyteckiej sprawujący nadzór także nad innymi bibliotekami. Byli to moi ówcześni przełożeni, gdyż pod koniec rządów sowieckich r. 1941 przeniesiony zostałem do biblioteki sztuki, utworzonej z książek i dzieł grafiki z tego zakresu, zwiezionych z różnych miejsc i zebranych razem w dawnym budynku Biblioteki Baworowskich.

Biblioteka ta miała szczególny urok, dzięki swym stylowym wnętrzom. Dawny arsenał Sieniawskich z w. XVII przerobił Wiktor Baworowski w

pierwszej połowie w. XIX na pomieszczenie zbiorów swej fundacji. Wnętrza parterowe były sklepione, na pierwszym piętrze w niektórych salach znajdowały się stożkowe supraporty w stylu klasycyzmu. Budynek położony był w sporym ogrodzie. Szafy z książkami i grafiką w zabytkowych wnętrzach, urządzone meblami z pierwszej połowy w. XIX tworzyły razem zespół o szczególnym charakterze, niepozbawionym uroku. Przedstawiciele władz niemieckich rzadko nawiedzali bibliotekę i na ogół pozostawiali nas w spokoju, - nas tj. mnie i moich dwóch współpracowników, Tadeusza Solskiego i Aleksandra Jaworzaka. Natomiast komunikowaliśmy się z naszym polskim przełożonym, rezydującym w gmachu Zakładu Nar. Im. Ossolińskich, Gębarowiczem.

Wyjątek od tego trwającego przez cały czas niemieckiej okupacji stanu rzeczy stanowił epizod, jaki rozegrał się zaraz następnego dnia po wkroczeniu wojsk niemieckich, a który przedstawić muszę szczegółowo. Zjawił się wówczas w bibliotece hitlerowski dygnitarz w randze sekretarza stanu, Mühlmann, historyk sztuki, w towarzystwie drugiego również fachowca w zakresie naszej dyscypliny, dr Kudlicha, obaj w mundurach, dopytując się o znane im oczywiście z publikacji i reprodukcji (Tietze – Gębarowicz) oryginalne rysunki Dürera ze zbioru Lubomirskich. Zanim przybyli do Biblioteki Baworowskich byli oni przedtem w gmachu Zakładu im. Ossolińskich i tam spotkawszy przed wejściem młodego pracownika bibliotecznego, Weigla, syna profesora politechniki lwowskiej, pytali go o to samo. Weigel poinformował ich, że rysunków Dürera szukać należy w oddziale sztuki znajdującym się w Bibliotece Baworowskich, wskutek czego Mühlmann i Kudlich wzięli go ze sobą do samochodu i razem zgłosili się u mnie.

Na zapytanie o rysunki Dürera oświadczyłem, że nie wiem gdzie się znajdowały, że może władze sowieckieabrały je i wywiozły do Kijowa lub Charkowa razem z mało znacznymi pod względem artystycznym, lecz otaczanymi pietyzmem przez Ukraińców rysunkami Szewczenki. Powiedziałem przy tym, że kiedy się to działo, nie byłem jeszcze na moim obecnym stanowisku bibliotecznym, a sprawy te załatwiał Gębarowicz. Mühlmann wobec tego pytał o Gębarowicza, a kiedy dowiedział się, że ten pracuje w bibliotece przy ul. Ossolińskich, polecił Kudlichowi, aby ten zaraz z Weiglem wsiadł do samochodu i przywiózł Gębarowicza. Przy dawanych przeze mnie Mühlmannowi informacjach był Weigel cały czas obecny i byłem wobec tego pewny, że znajdzie on sposób powiedzenia Gębarowiczowi o tym, w jaki sposób Niemcom sprawę przedstawiłem i że Gębarowicz pójdzie po tej samej drodze, na którą ja wszedłem wobec Mühlmanna i Kudlicha. To też zdziwiłem się niemało, kiedy Gębarowicz przybywszy do biblioteki Baworowskich z miejsca poszedł do schowka, w którym ukrytych było 30 rysunków Dürera i okazał je niemieckim historykom sztuki. Dowiedziałem się potem od niego, że Weigel szepnął mu tylko, iż „Niemcy wszystko wiedzą”, co nie było prawdą, nie wspomniawszy zupełnie o tym, co z mej strony im powiedziałem tak, że Gębarowicz był przekonany, iż byłoby bezcelowe dalsze ukrywanie rysunków.

Mimowiedne zasługi młodego Weigla wobec władz okupacyjnych, którym tak na rysunkach Dürera zależało, nie miały go ocalić od rozstrzelania w dwa dni później, wraz z jego ojcem prof. Kasprem Weiglem, który znalazł się na zestawionej przez Ukraińców, Panczyszyna, Balwińskich i innych liście polskich naukowców, których chcieli się pozbyć.

Nastąpiła jak się wyraził Mühlmann „urzędowa część akcji”, spisanie protokołu, w którym stwierdzono, że ocalenie rysunków przed władzami bolszewickimi przez Gębarowicza i bezpieczne ich przechowanie winno znaleźć wyraz w osobnym protokole i chciał przystąpić do jego spisania. Na zapytanie Gębarowicza jaki miałby być tego cel powiedział Mühlmann „*Vielleicht bekommen Sie eine Auszeichnung*”. Odpowiedź Gębarowicza brzmiała „*darauf verziechte ich, ich habe nur meine Pflicht getan*”, poczem nastąpiła jakby chwila konsternacji. Wtedy Mühlmann uznał za stosowne zwrócić uwagę Gębarowicza na wagę takiego odznaczenia słowami „*Vielleicht haben Sie gehört von den Vorseinungen, welche gegen die polnische Wissenschaft eingingen sind?*”¹ – na co Gębarowicz odpowiedział „*Ja, ich habe es aber für deutschfeindliche Propaganda gehalten*”². Nastąpiło pożegnanie i wyjście Niemców z teką rysunków Dürera w rękę.

Sprawę zabrania rysunków Dürera przedstawiam bardziej szczegółowo zarówno ze względu na sam przedmiot wielkiej wagi, jak i ze względu na sposób traktowania spraw tych przez przedstawicieli nauki niemieckiej. Utkwiła mi ona dobrze w pamięci, jak i wypowiedziane wówczas słowa, gdyż przebieg rozmowy z Mühlmannem byłem zmuszony na świeżo wielokrotnie powtarzać. O losach szkiców Dürera wiemy tylko, że przez Mühlmanna były one wręczone Goeringowi, ten zaś złożył je w ręce samego Hitlera. Może Hitler przeznaczył je do muzeum, jakie miał zamiar stworzyć w rodzinnym Linzu?

Poza utratą rysunków Dürera dla zbiorów polskich sprawa ta miała jeszcze epilog o innym aspekcie. Nie Mühlmann ale Kudlich i dwaj inni historycy sztuki, może zażenowani wypowiedzianymi Gębarowicza, uznali za stosowne zjawić się w dwa dni później, jak gdyby z koleżeńską wizytą u polskich historyków sztuki w Bibliotece Baworowskich. Rozmowa dotyczyła spraw naukowych dość ogólnie traktowanych przy unikaniu możliwych drażliwości ; o rysunkach Dürera słowem już nie wspomiano. Miało to być jakby przyłożenie plastra na tę sprawę, która może niektóre subtelniejsze umysły niemieckie trochę żenowała.

Mimo terroru, rozstrzeliwań, uwięzień i wysyłek do obozów, w sytuacji pod niemiecką okupacją możliwe było jeszcze wzajemne komunikowanie się i pewne usiłowanie podtrzymania choćby pozorów życia naukowego, z zachowaniem wszelkich ostrożności przed oczyma i przed uchem miejscowych Ukraińców. Ich dziełem był też zaraz w pierwszych dniach okupacji niemieckiej

¹ Może słyszał pan o ujawnionych postępowaniach, które zostały podjęte przeciw polskiej nauce?

² Tak, ale uważałem je za wrogą Niemcom propagandę.

wstrząsający fakt rozstrzelania kilkudziesięciu profesorów wyższych uczelni lwowskich według ułożonej przez nich przedtem listy.

Pod nazwą posiedzeń niektórych Wydziałów Lwowskiego Towarzystwa Naukowego zbierano się w różnych miejscach i odbywano referaty naukowe. Jedno z takich posiedzeń z moim referatem odbyło się też w Bibliotece Baworowskich. Więcej może niż na referacie zebrałym na rozmowie po nim przy herbacie i na wymianie myśli przy niej. Miało to szczególny smak na tle szaf bibliotecznych i zbiorów muzealnych. Podtrzymywanie ducha i snucie horoskopów miało także miejsce na zebraniach w niektórych domach prywatnych, jak i w naszym mieszkaniu przy ul. Nabelaka 23, gdzie zbierali się Czekanowski, Skwarczyńska, Gębarowicz, Jerzy Manteuffel i inni.

Ze zmianą sytuacji na frontach zmieniały się także nastroje. Można było zaobserwować różne tego przejawy. Z jednej strony buta i samowola, z drugiej strach przed tym co nadchodzi i co przeczuwano. Na imieniny gubernatora Wächtera urzędnicy lwowskiego urzędu gubernatorskiego z Gasselichem na czele uznali za stosowne ofiarować gubernatorowi prezent, po który Gasselich bez wielkich ceremonii sięgnął do Muzeum Przemysłu Artystycznego, zabierając stamtąd zegar ze złoczonego brązu, przedstawiający Apollona na kwadrydze, niegdyś należący do Murata, a potem własność Gołuchowskich. Charakterystyczna była dla mnie wizyta w bibliotece Niemauna, przedtem szefa **Institut für deutsche Kulturarbeit im Osten**, który raz w tym charakterze zwiedzał naszą bibliotekę, a potem powołany do służby we Włoszech, zjawił się w czasie urlopu we Lwowie i uznał za stosowne zająć znów do Biblioteki Baworowskich. Mowa była już nie o niemieckiej kulturze na wschodzie. Ze słów Niemauna wiała rezygnacja i tęsknota za spokojnym życiem. Mówił o kawałku ziemi na Śląsku jaki posiada i gdzie radby osiąść nawet bez historii sztuki i pracy naukowej na tym polu.

W Krakowie

*Napisane w Krakowie
1952r.*

Dzięki temu, że literat noszący to samo nazwisko, co panięskie mojej żony, zgłosił się był w czasie okupacji niemieckiej jako „Volksdeutsch”, był on poszukiwany przez sowiecką policję polityczną (NKWD = Национальный Комитет Внутренних Дел), a ponieważ policja nie mogła go odnaleźć, przeto zachodziła obawa, że w jego miejsce mogą zwrócić się do mojej żony, meldowanej pod panięskim nazwiskiem. Taka odpowiedzialność za osoby trzecie, nie mające z kimś nic wspólnego, była stosowana często w biurokratycznym trybie postępowania i mogła być dla nas groźna. Dowiedzieliśmy się o konkretnych nawet krokach poszukiwania mojej żony, przez pomyłkę w domu przy ul. „Na Bajki” zamiast ul. „Nabielaka”. Ostrzeżeni, musieliśmy zastosować środki przeciw przykrym konsekwencjom. Przez 7 tygodni żona moja ukrywała się w ciasnym pomieszczeniu w magazynie książek, w końcu jednak uważałem, że dłużej to trwać nie może i dążyłem, by jako tzw. repatriantkę pod zmienionym nazwiskiem wyprowadzić ją na terytorium polskie. Stało się to w lutym 1945, w śnieżny, przykry dzień, przy czym jeszcze doświadczyć musiała żona, że połowa z jej bagażu została odrzucona i pozostać musiała we Lwowie, nie pozwolono bowiem na jej zabranie. Podróż mej żony ze Lwowa do Krakowa w wagonie trwała pełne dwa tygodnie.

Przeszło dwa miesiące jeszcze pozostałem we Lwowie, z 85-letnią matką, która łóżka nie opuszczała i sparaliżowaną siostrą. Obie oświadczyły stanowczo, że we Lwowie pragną życie zakończyć i mowy nie było o wyperswadowaniu im tego. Przy tym przyszła moja sytuacja w Krakowie, czy gdzie indziej, przedstawiała się dosyć mglisto. Z listownych relacji żony, krępowanej w wyrazach w piśmie, trudno było coś konkretnego wywnioskować, względnie nie wszystkiego domyślałem się, co ona chciała powiedzieć. W końcu zapewniwszy opiekę matce i siostrze i byt na czas jakiś zdecydowałem się na wyjazd w ramach tzw. akcji repatriacyjnej, mającej na celu wysiedlenie jak największej ilości Polskiej ludności z terenu przyłączonego do UZSR.

Dnia 1 maja 1945 po dwudniowej podróży samochodem ciężarowym znalazłem się w Krakowie, gdzie żona moja tymczasem uzyskała już przydział jednego pokoju na moje imię, przy ul. dawnej Studenckiej 8. Sporą ilość rzeczy, nawet mebli tym razem udało mi się przywieźć ze Lwowa, transportem tzw. uniwersyteckim, na szczególnie dogodnych warunkach, jakie potem już nigdy nie powtórzyły się.

Kraków był środowiskiem, o którym niegdyś marzyłem, by w nim pędzić życie w oddaniu się nauce. Pod wielu względami miałem doznać rozczarowań. Gdym o spełnieniu mych marzeń, jakkolwiek w warunkach najbardziej nieprzychylnych, nawet tragicznych, wspomniał dawnemu przyjacielowi, od lat 30 osiadłemu w Krakowie profesorowi UJ Władysławowi Semkowiczowi

powiedział mi: „mówisz tak, bo nie znasz Krakowian, ale doświadczysz jeszcze niejednego”. Od żony mej, która w staraniach o mieszkanie i ulokowanie naszych ruchomości poniosła niezmiernie trudy, usłyszałem szereg charakterystycznych szczegółów dotyczących stosunków miejscowych, zwłaszcza odnoszenia się Krakowian do uchodźców ze zniszczonej Warszawy, a potem z ewakuowanego z Polaków Lwowa.

Prezes Polskiej Akademii Umiejętności, Kutrzeba, do którego żona moja za przyjazdem do Krakowa zwróciła się, zezwolił najuprzejmiej na tymczasowe ulokowanie naszych przywiezionych przez nią rzeczy w gmachu Akademii, póki mieszkania nie wyszuka. Za bytnością u niego żona moja zastała kogoś ze zniszczonej przez Niemców Warszawy, kto opowiadał o swych tragicznych przejściach przez Pruszków itd. Prócz prezesa Kutrzeby przysłuchiwał się temu obecny przy tym ktoś z profesorów Uniwersytetu Jag., który nawiązując do opowiadań warszawianina, jakie moją żonę głęboko wzruszyły oraz jej własnych, malujących przejścia Lwowian w ich mieście, uważał za stosowne dorzucić, że on po okupacji hitlerowskiej powrócił wprawdzie w Krakowie do swego dawnego mieszkania, lecz w kuchni nie zastał tzw. żelaznego „blatu”, który musi za własne pieniądze zakupić. Dysproporcja przejść tragicznych Warszawy i Lwowa i ich mieszkańców, a drobiazgowości Krakowianina była w tym wypadku jaskrawa.

I w innym znów wypadku, kiedy żona moja komuś z mieszkańców Krakowa przyniosła zabrany ze Lwowa na czyjaś prośbę jego perski dywanik, usłyszała prócz zdawkowych słów podziękui utyskiwania, że napływ Warszawian i Lwowian do Krakowa może spowodować drożyznę... Z tym sobkowstwem i ciasnotą poglądów jako rysem charakterystycznym rdzennych Krakowian, równocześnie dumnych ze swych zabytków historycznych, miałem spotkać się niejednokrotnie jeszcze. Kiedy w gronie historyków sztuki podkreślałem ze zdziwieniem u kogoś z zajmujących stanowisko naukowe zbyt dbałość o własną korzyść, a zbyt małą może o dobro nauki, spotkałem się z ironicznymi uśmiechami i głosem, jak można myśleć, aby mogło być inaczej. Mój sposób myślenia uważano za naiwny. I istotnie nie było wśród Krakowian nikogo, kto myślałby innymi kategoriami, jak pod kątem osobistych korzyści czy własnego wyniesienia.

Sposób myślenia znacznej części Krakowian maluje także następująca sprawa. Za przybyciem naszym i zainstalowaniem się w Krakowie doznaliśmy dużo uprzejmości ze strony historyka sztuki Karola Estreichera. Mając własny samochód zapraszał nas oboje na wycieczki za miasto, bywaliśmy też wzajemnie u siebie. Sprawa obsadzenia podrzędnego zresztą stanowiska w Gabinetie Rycin Akademii Umiejętności przyniosła wyjaśnienie naszych stanowisk. Mając sobie zleconą opiekę nad tym działem zbiorów Akademii obiecałem tam zaangażować kogoś, kto by posiadał znajomość grafiki, jej technik i dziejów, a nikogo takiego poza Zofią Ameisenową kierowniczką Gabinetu Rycin Biblioteki Jagiellońskiej, dobrą siłą fachową w Krakowie nie

było. Natomiast zgłaszała się Irena Dunikowska znana mi ze Lwowa, wychowanka tamtejszego uniwersytetu, która miała za sobą pracę magisterską z zakresu grafiki i w tym kierunku była fachowo wyszkolona. Przy lodach w cukierni Maurizia doszło między Estreicherem a mną do sprecyzowania naszych stanowisk. Estreicher oświadczył, że krakowscy historycy sztuki, w imieniu których zdawał się przemawiać, niechętnie widzą nie swoich wychowanków, obejmujących w Krakowie fachowe stanowiska i żądał abym w miejsce mgr Dunikowskiej przyjął do Gabinetu Rycin którąś ze słuchaczek Uniwersytetu Jagiellońskiego, poleconą przez niego lub Bochnaka. Lecz w toku dyskusji Estreicher poszedł jeszcze dalej, stawiając sprawę niejako na ostrzu noża i oświadczając, że albo będę szedł ręką w rękę z krakowskimi historykami sztuki, albo jak się wyraził, „Kraków będzie Pana zwalczać”. Z dziwną otwartością nie wahał się powiedzieć, że potrafi to zrobić nawet wtedy, kiedy będzie dla mnie uprzejmy i przyjacielski. Moja odpowiedź brzmiała, że „Kraków w Pańskim rozumieniu to Pan i Bochnak”, wiedziałem bowiem, że inni z krakowskich historyków sztuki ustosunkowują się do niego krytycznie, a zarazem zaznaczyłem, że zawsze gotów jestem wszystkie sprawy traktować rzeczowo i obiektywnie i z przedstawionymi przez niego i Bochnaka kandydatami porozmawiam, aby przekonać się o ich wiadomościach z zakresu grafiki i według rezultatów tych badań sprawę rozstrzygnąć.

Wynik tych rozmów z przysłanymi kandydatami był bezwarunkowo negatywny, na Uniwersytecie Jagiellońskim bowiem nikt nigdy grafiki nie wykładał, ani ćwiczeń z tego zakresu nie prowadził. Moja decyzja też poszła nie po myśli Estreichera, choć ten użył jeszcze i tego argumentu, zresztą szczerze postawionego, że idzie mnie o to, aby wśród możliwych zmian politycznych ktoś z nas (rozumiał siebie, Bochnaka i mnie) znalazł w Gabinetcie Rycin czasowe schronienie. I ten wzgląd nie zdołał mnie przekonać i odtąd liczyć się musiałem z wrogiem, którego mściwego usposobienia miałem jeszcze doświadczyć.

W sprawach ogólnej orientacji miałem sposobność mówić z różnymi ludźmi, przeważnie ze sfer naukowych. O ile czasy okupacji i reżimu hitlerowskiego nauczyły ich orientować się w polityce niemieckiej i zapoznały ich z niemieckim sposobem myślenia, o tyle wykazywali oni zupełne niezrozumienie spraw rosyjskich i rosyjskiej psychiki. Pojmowali oni wszystko pod kątem widzenia zachodnioeuropejskim i to powodowało, że zupełnie błędnie oceniali Rosję i Rosjan. Między innymi przekonała mnie o tym dłuższa rozmowa z prof. Oszackim, zupełnie nie zdającym sobie sprawy z położenia i ulegającym różnym złudzeniom. Nie on jeden też reprezentował te poglądy. Na ogół wielu sądziło, że marksizm na tle kultury zachodniej ulegnie przekształceniom i modyfikacjom i stąd wyprowadzano wnioski daleko sięgające a zasadniczo mylne. U podstaw tego sposobu myślenia leżało przekonanie o trwałości pewnych naszych urządzeń, o niemożliwości zmian w

psychice ludności przywykłej do Kultury Zachodu i konieczności dostosowania do niej nowych doktryn. Pomału dopiero rozwiewały się te iluzje.

Powracam do przeżyć osobistych z chwilą przyjazdu do Krakowa. Dowiedziałem się tu, że czeka mnie stanowisko dyrektora Państwowych Zbiorów Sztuki na Wawelu i że rzecz ta została zadecydowana w Warszawie przez ówczesnego naczelnego dyrektora muzeów Lorentza. Była to dla mnie niespodzianka, gdyż nie przypuszczałem ażeby w związku z obsadzaniem tego stanowiska o mnie w Warszawie pomyślano. Stanowisko było poważne, praca na nim mogła pociągać, lecz równocześnie stawiało mnie ono w trudnym położeniu. Nieunikniony bowiem był konflikt z ówczesnym kierownikiem odbudowy Wawelu Szyszką-Bohuszem, dotychczasowym dyktatorem. Moja ujemna opinia o jego działalności pokrywała się z opinią Lorentza i młodszego pokolenia warszawskich historyków sztuki, uczniów Batowskiego i może właśnie dlatego mnie przeznaczono na to stanowisko, a nie kogoś z Krakowa.

Zarysowujący się z góry konflikt dotyczyć musiał rzeczy zasadniczych. Szło o to czy Wawel ma być odnawiany jako zabytek historyczny, czy ma stanowić coś innego niż był w przeszłości. Szyszko-Bohusz chciał stworzyć z Wawelu ramy i tło dla uroczystości narodowych i masowych zebrań; miał tam być też stadion sportowy itp. Miał też być Wawel siedzibą prezydenta Rzeczypospolitej a plany Szyszki-Bohusza miały za sobą przed wojną poparcie ówczesnego prezydenta Mościckiego.

Pierwsze zaraz moje zetknięcie się z Szyszką-Bohuszem zapowiadało już wrogie jego nastawienie do mnie. Zawiadomiony o objęciu stanowiska dyrektora zbiorów, które przedtem nie istniało, gdyż kustosz mający zleconą opiekę nad zbiorami był mu podległy, Szyszko-Bohusz zauważył, że nie będę miał przecież nic do roboty, ponieważ jest już przy tym samym zatrudniony kustosz Bochnak. Oświadczył też, że mieszkanie dla mnie na Wawelu nie znajdzie się, jakkolwiek urzędowo było mi ono przydzielone. Była to zapowiedź walki, w której po mej stronie miałem przełożone mi czynniki urzędowe w Ministerstwie Kultury i Sztuki w osobach naczelnego dyrektora muzeów Lorentza i generalnego konserwatora Zachwatowicza, przeciw zaś krakowskich architektów z Szyszką-Bohuszem na czele, którego silnej indywidualności inni ulegali, lub też liczyli na zarobki przy robotach przez niego planowanych. Cały personel też, jaki zastałem na Wawelu był po jego stronie. Moja początkowa taktyka starań łagodzenia przeciwności stworzenia jakiegoś modus vivendi nie znalazła oddźwięku. Przyzwyczajony do dyktatorstwa Szyszko-Bohusz ważył się na samowolny krok ulokowania na Wawelu Wydziału Architektury Politechniki, stwarzając fakt dokonany i komplikując położenie z którego ministerstwo nie widziało ostatecznie innego wyjścia, jak rozwiązanie z nim

stosunku służbowego i usunięcie go ze stanowiska kierownika odnowienia Wawelu. To jednak sprawy w pełni nie załatwiło, gdyż Szyszko-Bohusz tkwił dalej na Wawelu jako dziekan Wydziału Architektury i inspirując studentów za pośrednictwem młodzieży płatał różne kawały; rozpoczął też kampanię dziennikarską przeciw Ministerstwu w krakowskiej prasie itd. We wszystko to byłem osobiście wmieszany, narażony w każdej chwili na nieprzewidziane ataki, mnóstwo drobnych przykrości, oszczerstwa i intrygi, kosztujące wiele nerwów.

Ten stan rzeczy trwał 4 lata. Na stanowisko następcy Szyszki-Bohusza Ministerstwo Kultury i Sztuki nie miało nikogo odpowiedniego. Wtedy z mej strony podsunąłem generalnemu konsultantowi Zachwatowiczowi znanego mi ze Lwowa z sympatycznej strony profesora politechniki lwowskiej, a później gdańskiej inż. Witolda Minkiewicza. Miał on za sobą ten atut, że jako były rektor lwowskiej politechniki używał tego tytułu towarzyskiego w myśl panującego u nas zwyczaju i równoważył tym Szyszkę-Bohusza również byłego rektora politechniki. Mianowany kierownikiem Odnowienia Wawelu Minkiewicz jednak uznał za stosowne z miejsca nawiązać stosunki z Szyszką-Bohuszem, w pojmowaniu zaś spraw konserwatorskich wprawdzie stosował się do wskazówek Zachwatowicza, w gruncie rzeczy jednak mało wykazywał zrozumienia dla spraw konserwatorskich, a natomiast podobnie jak Szyszko-Bohusz daleko posuwał się w tendencji do zastępowania autentycznych fragmentów architektonicznych dekoracji nowymi ich kopiami, rzeźbionymi ostrym dłutem zwykłego kamieniarza, a usuwaniu autentyku. Wyznawał i głosił zasadę zachowania stylowej formy, a lekceważył autentyzm i nie miał zrozumienia dla artystycznej i historycznej jego wartości. Stąd mój zawód na polecany przez mnie kierownik odnowienia. Projektowany przez Minkiewicza dom administracyjny, położony między basztą złodziejską a dawnymi domami z XVI w. okalającymi wzgórze od północnego zachodu mówią zresztą o pojmowaniu przez niego tych spraw i nieumiejętności dostosowania się do zabytkowego otoczenia.

W sprawy Wawelskie wszczął też ingerować jeszcze jeden czynnik, biurokratycznie – administracyjny, w osobie reprezentanta Kancelarii Cywilnej Prezydenta R.P. z tego tytułu, iż w budynkach m. 9 (od południa) znajdował się apartament, przeznaczony na rezydencję prezydenta. Wkrótce ogarnęła też p. Wyczółkowskiego, byłego urzędnika warszawskiego magistratu żądza władzy i chęć rozszerzenia swych kompetencji na sprawy konserwatorskie zarówno, jak i dotyczące wnętrz zamkowych. Stąd także konflikty ze mną, spowodowane jego wtrącaniem się w sprawy pracowni konserwatorskich, zorganizowanych przez mnie przy dyrekcji Państw. Zbiorów Sztuki, stąd także incydenty takie, jak popieranie przez niego pracowników dyrekcji Zbiorów, do których usunięcia ze względów rzeczowych musiałem dążyć.

Sprawy organizacyjne na Wawelu przedstawiały wiele niedomagań. Brak było koordynacji w pracach i w zakresie działania aż trzech instytucji, a później

nawet przejściowo aż czterech, którym powierzona była opieka nad Zamkiem Królewskim i zgromadzonymi w nim zbiorami. Sprawy administracyjno-porządkowe należały do reprezentanta Kancelarii Cywilnej, sprawy konserwatorskie do Kierownictwa Odnowienia zamku królewskiego, sprawy muzealne do dyrekcji Państwowych Zbiorów Sztuki, a ostatnio stworzone zostało jeszcze osobne Muzeum Historyczne Wawelu, gromadzące i opracowujące to wszystko, co nie znajdowało zastosowania w urządzaniu wnętrz zamkowych, a odnosiło się do dziejów Wawelu, aż do czasów przedhistorycznych włącznie. Konflikty kompetencyjne powstawały na każdym kroku, zwłaszcza wobec władczych instynktów reprezentanta Kancelarii Cywilnej niczem nie związanego z kulturą historyczną i nie mającego zrozumienia dla spraw zabytkowych. Ze strony władz naczelnych nie zaradzono temu, a mogło temu zaradzić stworzenie komitetu Wawelskiego, jeśliby w skład jego weszli ludzie kompetentni, a dobór ich nie zależał od politycznego kąta widzenia.

Działalność moja w dyrekcji Państwowych Zbiorów Sztuki na Wawelu szła w dwóch kierunkach. Pierwszym zadaniem było urządzenie wnętrz zamkowych tym materiałem zabytkowym, jakim mogłem rozporządzać. Zabrałem się do tego z pewną pasją, bo praca ta dogadzała mym umiłowanym. Szło mi o doprowadzenie wnętrz poszczególnych sal do pewnej stylowej jednolitości, a zarazem o takie ich urządzenie, które odpowiadało wymogom dobrego smaku, nie było muzealnym zestawieniem mebli i przedmiotów sztuki, lecz tworzyło razem wnętrze zbliżone przynajmniej do tego, jak one niegdyś wyglądać mogły. Zadanie było trudne, gdyż z autentyków w. XVI i XVII nic nie pozostało, a architektoniczne wyposażenie sal przez Szyszkę-Bohusza było inne, aniżeli o tym mówiły zapiski archiwalne. Zdawałem sobie sprawę z tego, że zadanie to musi być rozłożone na lata, że doprowadzenie urządzenia wnętrz zamkowych do jak najwyższego poziomu i jednolitości stylowej musi trwać ciągle i być przedmiotem ustawicznych zabiegów, przy pomocy pracowni konserwatorskich, których zorganizowanie miało być drugim z moich zadań. To też poświęciłem im szczególną uwagę, współdziałając codziennie z każdym z kierowników pracowni, konserwacji obrazów, barwiarsko pozłotniczej, pracowni konserwacji przedmiotów metalowych i stolarki, odwiedzając je nawet kilka razy dziennie i omawiając każdą z robót szczegółowo. Tą drogą też dochodzili pracownicy do lepszego zrozumienia swych zadań, obmyślali sami sposoby celowego wykonania każdej roboty. Były doświadczenia w tym korzystne, były i ujemne, w konsekwencji których trzeba było pozbyć się pracowników nieodpowiednich. Dodatnie wyniki poprzedziła natomiast pomysłowość innych, którzy wnikali w zadania konserwatorskie i stwarzali sami potrzebne przyrządy, a nawet własnymi siłami wykonywali całe aparaty. Muszę ocenić w tym doskonałą współpracę konserwatora obrazów Kozłowskiego, w innych zakresach zaś Janiszewskiego, Wiśniewskiej i innych.

W ciągu lat 7 mej pracy na Wawelu wnętrza zabytkowych sal zmieniały wciąż wygląd. Urządzenie ich nabierało znamion większej historycznej jednolitości. Dzięki zabiegom, które zresztą uznawała Naczelna Dyrekcja Muzeów, przybywały portrety osobistości historycznych, eliminowano stopniowo nieautentyczne obrazy itd. Umiejętne odnowienie autentycznych dodawało im znaczenia. Niejedno dzieło sztuki dało się też opracować naukowo, jak portret Michała Korybuta, niewątpliwie pędzla Daniela Schulza, portret Francesca de'Medici Drouzina. Przybył obraz elekcji Augusta II prawdopodobnie pędzla Altomonontego, trzy ogromnych rozmiarów choć miernego pędzla konne portrety dekoracyjne z Zamku w Suchej Zygmunta III, Władysława IV i Jana Kazimierza, Jana Tęczyńskiego przedtem znajdujący się w Krzeszowicach, Maryny Mniszchówny autorstwa Szymona Boguszowicza. Jako dar L. H. Morstina przybył portret Zygmunta Starego, od Jana Pawlikowskiego dużych rozmiarów obraz Leandra Bassana itd.

Znaczną przeszkodą w osiągnięciu stylowej jednolitości najbardziej reprezentacyjnych sal Zamkowych drugiego piętra były wsadzone w stropy wielu z nich plafony pędzla współczesnych malarzy, w obecnych warunkach nie do usunięcia, a psujących harmonię wnętrza, tak samo zresztą zaciążyły na wyglądzie całości wprowadzone przez Szyszkę-Bohusza różne innowacje, obliczone na zewnętrzny efekt, a nie uzasadnione historycznie. Do nich należały marmury, balaski z brązu (grzejniki) itp. By zdać sobie sprawę z tego, czym niegdyś wnętrza zamkowe różniły się od obecnych podjąłem pracę na podstawie źródłowych wzmianek archiwalnych p.t. Dzieje wnętrza Wawelskich, która ukazała się w druku już po moim ustąpieniu z dyrekcji Państw. Zbiorów Sztuki.

Sprawa mego ustąpienia miała tło lokalne, krakowskie. W r. 1950/51 wszczęta została w łonie Miejskiej Rady Narodowej w Krakowie akcja, mająca na celu jakoby umożliwienie ingerencji czynników lokalnych w sprawy wawelskie. Asumpt wzięty był stąd, iż brakło dotąd zorganizowanego Komitetu złożonego z fachowców zarówno jak i reprezentantów tzw. czynnika obywatelskiego, który w czasach przed drugą wojną światową odgrywał w tych sprawach pewną rolę. Akcję w tym kierunku podjął poseł na sejm, komunista Drobner, za którego inicjatywą odbyły się dwa posiedzenia w dawnym gmachu krakowskiego magistratu, w których także brałem udział. Spiritus movens sprawy i doradcą poufnym Drobnera był historyk sztuki, ambitny lecz niezrównoważony Karol Estreicher. Trzecie z rzędu zebranie, na którym skład Komitetu miał być już ustalony i wybrany przez delegatów różnych instytucji kulturalnych miało się odbyć na Wawelu. W rozmowie z prof. Bochnakiem przyjacielem Estreichera, w której szło o to, kto z nas tj. Bochnak i ja ma na zebraniu tym reprezentować Państwowe Zbiory Sztuki na Wawelu, kto zaś Towarzystwo Miłośników Przeszłości Krakowa, Bochnak wygadał się, że te role są już rozdane w porozumieniu Drobnera z Estreicherem. Zrozumiałem wówczas jasno zakulisową rolę Estreichera. Jeszcze dobitniej zaznaczyło się to na samym posiedzeniu, na którym zaproponowano na przewodniczącego

Komitetu prof. Jana Dąbrowskiego, notorycznie przeciążonego różnymi godnościami i pracami i na nic wskutek tego nie mającego czasu, na zastępcę przewodniczącego zaś Karola Estreichera, który udawał jakoby o projekcie wysunięcia swej osoby nic nie wiedział! Propozycje zostały przyjęte przez aklamacje, jednakże do rozpoczęcia prac Komitetu lokalnego nie doszło. Cała rzecz wpadła w wodę wskutek tego, że delegat Kancelarii Cywilnej Prezydenta RP Wyczółkowski zdał o tem sprawę swej władzy przełożonej, która poleciła ją umorzyć i do ingerencji Komitetu lokalnego nie dopuścić, ponieważ istniał projekt utworzenia szerszego komitetu ogólnokrajowego dla spraw wawelskich, a załatwienie tej sprawy znajdowało się w Kancelarii Cywilnej (nigdy zresztą nie załatwionej). Karol Estreicher tą drogą zatem do wpływu na moje losy na razie nie doszedł, lecz spróbował wkrótce innej, znów dzięki wpływom, jakie na tle lokalnego patriotyzmu krakowskiego uzyskał na posła Drobnera.

Z Miejskiej Rady Narodowej w Krakowie, w której Drobner odgrywał ważną rolę, zwłaszcza o ile szło o sprawy polityki kulturalnej, przedstawiony został w Ministerstwie Kultury i Sztuki wniosek na usunięcie z kierowniczych stanowisk S. Gąsiorowskiego w Muzeum Czartoryskich i mnie z Państwowych Zbiorów Sztuki na Wawelu. Gąsiorowski istotnie wszedł w konflikt z miejskimi czynnikami w sprawach rekonstrukcji jednej z baszt przylegających do Muzeum Czartoryskich i przejścia do niej i tem można by tłumaczyć żądanie jego usunięcia, podczas kiedy co do mnie nic podobnego nigdy nie zachodziło i o ile wiedziałem poufnie, miałem w Miejskiej Radzie Narodowej, a tak samo i Wojewódzkiej opinię dobrą. Podobnie też relacji mężów zaufania partii o mnie były korzystne i nic nie miano mi do zarzucenia. Wszystko przemawiało za tem, że były to znów słowa szeptane Drobnerowi przez jego męża zaufania, na którego zdaniu polegał, - Estreichera.

Potwierdzały to inne jeszcze drobne fakty. Kiedy na krótki czas przed wypowiedzeniem mi stosunku służbowego powstał między mną a zajętą w Dyrekcji Państw. Zbiorów Sztuki buchalterką konflikt na tle sposobu załatwiania spraw urzędowych i miałem zamiar postawić wniosek w Ministerstwie na jej usunięcie, wówczas Bochnak mój zastępca w dyrekcji zbiorów, a serdeczny przyjaciel Estreichera radził jej, aby sama ustąpiła, a po 3 miesiącach powróci na swe stanowisko, gdyż Mańkowskiego wówczas już nie będzie. Wiedział on doskonale o krokach Estreichera przez Drobnera podjętych i zaznaczyło się to w całym jego zachowaniu wobec mnie na dłuższy już czas przed moim ustąpieniem.

Prócz Drobnera miał Estreicher wyższą jeszcze protekcję, premiera Cyrankiewicza, przez którego potrafił zyskiwać fundusze na odnowienie uniwersyteckiego „Collegium majus”, co mu musi być poczytane za zasługę. Jednakże dzięki stosunkom z Cyrankiewiczem, datującym się od czasów uniwersyteckich, czuł się Estreicher tym bardziej pewnym siebie i ważył na różne pociągnięcia. Jego animozja wobec mnie miała się zaznaczyć po śmierci F. Kapery, który co prawda nominalnie tylko wobec posuniętego wieku i

sklerozy, sprawował godność przewodniczącego Komisji Historii Sztuki Akademii Umiejętności. Zastępcą przewodniczącego byłem ja od szeregu lat. Śmierć Kapery przypadła na czas, kiedy od ustania działalności Polskiej Akademii Umiejętności a przejęcia jej agend przez Polską Akademię Nauk dzieliło nas najwyżej 2 – 3 miesiące. To też dążeniem moim było, by raczej nowego przewodniczącego nie wybierać, uważałem bowiem, że w tych warunkach wybór taki nikomu nie dawałby zadowolenia ani nie stwarzał pola do działania. Sekretarz Komisji jednak w osobie Bochnaka bez porozumienia się ze mną, a za to w porozumieniu z Estreicherem ustawił wybór przewodniczącego na porządek dzienny posiedzenia z końcem maja 1952, Estreicher zaś rozpoczął agitację, obchodząc współpracowników Komisji i rozwijając akcję za wyborem Bochnaka przewodniczącym. Tak się też stało i Bochnak uzyskał znaczną większość głosów młodszych współpracowników związanych z nim na uniwersytecie stosunkami urzędowymi asystentów itp. Natomiast dzięki zbiegowi okoliczności nie byli obecni na tym posiedzeniu starsi wiekiem, członkowie PAU, Molè i Tatariewicz.

Ustałem zatem dzięki intrygom z Dyrekcji Zbiorów na Wawelu i z godności zastępcy przewodniczącego Komisji Historii Sztuki PAU. Ta ostatnia godność nie wiele mnie ziębiła czy grzała, a tylko sposób postępowania interesowanych osób stanowił miarę stosunków krakowskich. Nie zależało mi zupełnie na tej godności i nie kompetowałem bym o nią, ale gdyby nie moment zaskoczenia, o którego użycie w tym wypadku szło, nie byłby może przewodniczącym Bochnak tylko Molè czy Tatariewicz, - ktoś ze starszych i poważniejszych.

Za to do działalności na Wawelu przywiązałem się; Ostatecznie urządzenie wewnątrz było wyrazem mego poczucia smaku. Organizacja pracowni konserwatorskich była również moim dziełem. Mój następca Szablowski z góry zapowiadał, że punkt ciężkości jego działalności przeniesiony będzie na sprawy muzealne, przedtem odłączone od dyrekcji Zbiorów Sztuki. Miłe mi były objawy życzliwości pracowników dyrekcji Zbiorów przy moim ustąpieniu. Objawy te były jeszcze później długi czas, w rezultacie tego, że we wszystkie sprawy sam wglądałem i współpracowałem bezpośrednio z fachowcami, omawiając z nimi każdą rzecz, nie narzucając jednak autorytatywnie swego zdania z góry.

Kiedy jeszcze w czasach przedwojennych, mieszkając we Lwowie przyjeżdżałem do Krakowa z referatami na posiedzenia Komisji Historii Sztuki PAU spotykałem się z życzliwym stanowiskiem ówczesnego przewodniczącego Komisji Tomkowicza, z którym omawiałem sprawy druku mych rozpraw w wydawnictwach Akademii. Był to wówczas już starszy pan niskiego wzrostu z

siwymi wąsami, o którym krakowskie języki mówiły, że ma snobistyczną słabość do stosunków z domami arystokratycznymi. Działalność jego naukowa nosiła charakter konserwatorski, a monograficzne opracowania dotyczyły poszczególnych zabytków, sumiennie opisanych, jednakże bez usiłowania stworzenia syntetycznego poglądu choćby na pewne tylko okresy dziejów sztuki w Polsce. Na to jeszcze ówczesną naukę nie było stać.

Drugim naukowcem, jednak nie historykiem sztuki, z którym się bliżej zetknąłem, był orientalista Tadeusz Kowalski. Zgłosiłem się do niego z prośbą o wskazówki bibliograficzne, dotyczące dziejów Bliskiego Wschodu, mając zamiar zająć się problemem wpływów sztuki islamu w Polsce i spotkałem się z jego strony z daleko idącą uczynnością. Stosunki naukowe zbliżyły nas także osobiście. Ujęły mnie u Kowalskiego jego szerokie horyzonty myśli i prawość w sposobie postępowania, bez siania wschodniej czy nawet krakowskiej chytryści czy zmysłu intrygi. W pracy mej o „Sztuce islamu w Polsce”, w której jako nie zawodowy orientalista mogłem być narażony zwłaszcza na językowe niezrozumienia i potknięcia, zawdzięczałem wiele Kowalskiemu, w szczególności słowniczek nazw tkanin wschodnich, stanowiący aneks tej rozprawy, był w większej mierze jego niż moim dziełem, każde bowiem wyłowione przeze mnie słowo obce, perskiego czy tureckiego pochodzenia, było przez niego interpretowane i objaśnione.

W r. 1933 zmarł Tomkowicz i kierownictwo Komisji Historii Sztuki PAU przeszło w ręce Pagaczewskiego, z którym odtąd częściej stykałem się. Stosunki między historykami sztuki w Krakowie a wskutek tego także i naukowe ułożyły się przedziwnie. Między dwoma profesorami tego przedmiotu na uniwersytecie powstała animozja, której refleksy odbijały się na terenie Akademii Umiejętności. Nie wiem co było przyczyną owych tarć między Pagaczewskim a Szydłowskim. Ponieważ jednak w r. 1932 zostałem wybrany członkiem korespondentem PAU, a Szydłowski nim nie był, przeto stąd także z jego strony skierowana przeciw mnie podejrzliwa zawiść. Więcej jeszcze dotyczyła ona Bochnaka, młodego wówczas asystenta Pagaczewskiego, którego wybór na członka korespondenta PAU przeprowadził wkrótce potem Pagaczewski, dając tym najdobitniej wyraz postępowania Szydłowskiego, profesora uniwersytetu, ponad którego w Akademii wyniesiony został asystent. Sytuacja była groteskowa. Czy Bochnak na to zasłużył a Szydłowski nie, można było mieć wątpliwości, ważąc zasługi naukowe jednego i drugiego. W danym wypadku jednak przeważyło to, że Bochnak był usłużny i uczynny, każdemu chciał dogodzić i przypodobać się, Szydłowski zaś był szorstki, raczej przeciwieństwo Bochnaka.

Symbioza Pagaczewski – Bochnak miała jak tło chorobę serca pierwszego z nich i wyręczanie go we wszystkim przez drugiego, stałego nieodstępного towarzysza swego profesora na wszystkich zebraniach i posiedzeniach, wskutek czego ukuto nawet dowcip o „dwóch panach Bochnaczewskich”. Była to droga, którą Bochnak, średnich zdolności a dużych ambicji, wybrał dla swej kariery

życiowej. Pagaczewski istotnie odplacał mu wdzięcznością, popierając wszędzie gdzie mógł, Bochnak zaś wytrwał przy nim pielęgnując go i towarzysząc mu także kiedy w czasie wojny i okupacji niemieckiej Pagaczewski z Krakowa przeniósł się do małej miejsciny Ciężkowic i tam życie zakończył.

Ocena działalności naukowej i pedagogicznej Pagaczewskiego w nekrologu pióra Bochnaka w tomie VIII Prac Komisji Historii Sztuki została niewątpliwie wysublimowana. Miał on zasługi pedagogiczne, czas jednak jego działalności w krakowskim środowisku naukowym w porównaniu do działalności Sokołowskiego oznaczał niewątpliwie obniżenie naukowego poziomu. Pagaczewski nie wyszedł poza dobre monografie o wąskich horyzontach i to samo można powiedzieć o jego uczniach. Był to czas, kiedy należało się już spodziewać u nas szerszego traktowania historii sztuki, intensywniejszej pracy niż ta, której wyrażane są wówczas główne publikacje. Wyjątek może stanowiły takie prace jak Komornickiego w „Kulturze staropolskiej” i inne, które zapowiadały, że po Komornickim można się było więcej spodziewać, niż po innych jemu współczesnych.

Komornicki odbijał od innych współczesnych mu historyków sztuki ośrodka krakowskiego także wyższą kulturą, która u nich w tym czasie zbyt zacieśniła się do krakowskiego podwórka. Brak było krakowskim historykom sztuki szerszego tła, brak pogłębienia studiami zagranicą, a w badaniach ich dotyczących samych zabytków krakowskich dziwić musi, że nie wyczerpano znajdujących się na miejscu materiałów archiwalnych, które dopiero w r. 1951/2 odkrywał ks. Przybyszewski. Kiedy z końcem zimy i z wiosną 1945 po wyjeździe mej żony ze Lwowa dojrzywałem we mnie myśl przeniesienia się do Krakowa myślałem, że bliższe stosunki może będą mnie tam łączyć z Komornickim i liczyłem na to, kiedy doszła mnie wiadomość o tragicznej jego śmierci we własnym domu z ręki bandytów.

Trochę na uboczu, nie całkiem włączony w środowisko krakowskie trzymał się Wojśław Molè, profesor historii sztuki Słowian na Studium Słowiańskim UJ., Słoweniec, podkreślający zawsze swą narodowość. Wyróżniał się on od rdzennie krakowskich historyków sztuki tym, że studia odbywał na uniwersytecie wiedeńskim w czasie, kiedy tam działali Dworak, Strzygowski, Schlosser. Przygotowanie miał doskonałe, horyzonty szerokie. Ostrożny, nie chcący wejść w drogę nikomu z krakowskich kolegów, z całą premedytacją nie tknął nigdy w swych pracach tematów z polskiej historii sztuki. Dłuższy pobyt w Krakowie i doświadczenia zyskane zbliżyły mnie jeszcze więcej do Molè'go.

Nie zajmował jeszcze wtedy wybitnego stanowiska, a raczej zdążył dopiero do niego Tadeusz Dobrowolski. Niektórzy mieli mu to za złe, że będąc przed wojną dyrektorem Muzeum Śląskiego w Katowicach, jego zniszczeniu przez Niemców, on, autor kilku prac o sztuce na Śląsku, po wojnie nie powrócił na Śląsk i dalej tam nie pracował, lecz pozostał w Krakowie. Może kierował nim w tym trafny instynkt, jak się potem miało okazać. Z młodszego pokolenia najzdolniejszy i najbardziej pracowity, był tym z grona krakowskich historyków

sztuki po którym najwięcej można się spodziewać. Prace jego obejmują szeroki zakres, od wieków średnich po w. XX. Po przełamaniu wielu przeszkód stawianych mu przez czynniki urzędowe, w druku obecnie znajduje się jego najobszerniejsza praca o polskim malarstwie nowożytnym, której ukazania się oczekujemy z niecierpliwością. Wiele subtelnego wycucia wykazał Dobrowolski w swej ciekawej wielce pracy o portrecie polskim XVII i XVIII w.

O Bochnaku była już mowa przedtem. Z okazywanej mi życzliwości przeszedł on do jawnie wrogiego stanowiska. Jak przedtem, oddany zupełnie Pagaczewskiemu, tak później uległ zupełnie wpływowi Estreichera. Nie był nigdy silną indywidualnością, szukał zawsze oparcia o kogoś, czym zdaniem mógłby się kierować. Brakło mu także wyrobienia życiowego i szerszego poglądu, dzięki temu, że trzymając się Pagaczewskiego, nieodstępny od niego, nie miał czasu na samokształcenie i pogłębienie wiedzy, na podróże i poznanie obcych zabytków poza Krakowem. Odziedziczył za to po Pagaczewskim jego skrypty, z których wykładał, jak mówili słuchacze w sposób dość nudny i monotony. „Nie jest to orzeł” jak ktoś o nim powiedział, natomiast jest dobrym redaktorem, znającym się na finezjach wydawniczych i drukarskich. Byłby dobrym urzędnikiem, a na terenie naukowym zasługując się innym i wyřeczając ich zyskiwał sobie życzliwość i poparcie. Tak został na uniwersytecie prodziekanem w r. 1952, załatwiając sprawy za partyjnego Garbacika. O ile w sprawach wymagających szerszej orientacji wykazywał brak zrozumienia, o tyle tam gdzie szło o osobistą korzyść doskonale się orientował. Jego brak rozwagi i chęć zbycia się ciężarów, których wagi nie doceniał spowodowały, że przez przysłanie do Warszawy pakunku o podejrzaney zawartości sam naraził się na 5-dniowe więzienie śledcze i tyleż dni więzienia kosztowała ta nieogłędność jego moją żonę, całkiem przypadkowo w sprawę tę wplątana. Zawsze też zrozumienie winy, ani słówka przeproszenia za przykrości i możliwe groźne następstwa lekkomyślnego kroku nie zaznaczyły się potem u Bochnaka.

Prędko uzyskawszy dzięki Pagaczewskiemu godność członka korespondenta Bochnak oczekiwał, że okazując mi życzliwość za mym poparciem rychło zostanie także członkiem czynnym Akademii. Nie ukazywały się jednak w czasie takie jego prace, które by go kwalifikowały na ten wybór i takie też było zdanie innych poważnych historyków sztuki. Bochnak jednak przyzwyczajony w Krakowie do stosowania w życiu zasady, że „ręka rękę myje”, mnie przypisywał winę, że spodziewany wybór nie następował.

W jesieni 1945 zostałem wybrany sekretarzem Wydziału Filologicznego PAU, niewątpliwie z inspiracji Tadeusza Kowalskiego, ówczesnego sekretarza generalnego Akademii i odtąd też datuje się mój bliższy wgląd w sprawy Akademii, gdyż jako sekretarz Wydziału wszedłem także do zarządu PAU. Na

posiedzeniach zarządu omawiane były ogólne sprawy, szczególnie ważne w tym trudnym okresie działalności Akademii, kiedy w perspektywie zarysowywały się tendencje do zlikwidowania jej egzystencji a w każdym razie jej przekształcenia. W panującym reżimie organizacja naczelnej instytucji naukowej oparta na wyborach przez jej członków na dłuższą metę była nie do utrzymania i z tego zdawaliśmy sobie wszyscy sprawę. To też taktyka stosowana przez prezydium Akademii i jej zarząd polegać musiała na lawirowaniu, mającym na celu utrzymanie jak najdłużej stosunków, umożliwiających egzystencję Akademii i jej działalności jak najbardziej wydajnej i pożytecznej dla nauki. Stopniowo i po kolei umniejszały się jednak szanse utrzymania tego stanu rzeczy i jeden po drugim odpadały atuty, jakimi rozporządzała Akademia, zdążając do realizacji swych celów. Odebrano jej dyspozycję drukarnią, ograniczono możliwość zarządzania majątkami, od samego początku nowego reżimu zredukowanymi do nieznaczącej części tych, jakie przed wojną stanowiły własność Akademii. PAU stawała się coraz bardziej zawiśłą od subwencji rządowych, a tym samym traciła samoistność.

Na Wydziale Filologicznym przeważali członkowie czynni językoznawcy, drugimi z kolei co do ilości i wagi, jaką reprezentowali pod względem naukowym byli poloniści, - filologowie klasyczni i historycy sztuki mniej więcej równowazyli się.

W początkach mego pobytu w Krakowie prezesem PAU był Kutrzeba, dyrektorem Wydziału Filologicznego, którego byłem członkiem Nitsch. Po śmierci Kutrzeby prezesem został Nitsch, sekretarzem generalnym Kowalski, dyrektorem Wydziału Filologicznego Lehr-Spławiński. Z nimi kontakty moje były najbliższe i najczęstsze urzędowe, a stopniowo także zawiązały się i osobiste, nie mówiąc o Kowalskim, z którym one były o wiele dawniejsze i bliższe. Był on człowiekiem wielkiej prawości, prostolinijny i dlatego może stosunki w jakich pracować musiał jako sekretarz generalny Akademii nie odpowiadały jego usposobieniu. Lawirowanie i politykowanie kosztowało go wiele. Po jego śmierci przypadł sekretariat generalny historykowi Janowi Dąbrowskiemu, bardziej giętkiemu i akomodującemu się do okoliczności i warunków politycznych.

W Warszawie PAU nie miała dobrej opinii u władz centralnych, a po części i u tamtejszych naukowców. Zarzucano naczelnej instytucji naukowej jej krakowski partykularyzm, zbyt nacisk położony na nauki humanistyczne, a zbyt mały na przyrodnicze. Jeszcze przed wojną czas jakiś pokutowała myśl przekształcenia Warszawskiego Towarzystwa Naukowego na drugą równorzędną Akademię Umiejętności. Zbyt wyraźnie w tym projekcie zaznaczały się intencje różnych osób udekorowania się zaszczytnymi tytułami w nowej Akademii, to też do jej utworzenia nie doszło. W przewrocie ustrojowym po wojnie, w niezycziwym ustosunkowaniu się władz centralnych do PAU, prócz zasadniczych tzw. „ideologicznych” względów niemałą rolę grał także wzgląd na jej „krakowskość”.

Czy zarzuty te były słuszne? Niewątpliwie w wypadkach, w których do wyboru przychodziło dwóch kandydatów, z których jeden był krakowianinem, a drugi nim nie był, caeteris paribus pierwszeństwo dawano krakowianinowi. Bywało też, że członkami czynnymi zostawali wybrani naukowcy zupełnie średniej lub mniej nawet niż średniej miary i w tym najczęściej odgrywały rolę stosunki koleżeńskie w Uniwersytecie Jagiellońskim, kiedy znaczna część profesorów tego uniwersytetu była zarazem członkami czynnymi PAU. Takie ujemne strony byłyby jednak niewątpliwie zaznaczały się także wszędzie indziej poza Krakowem, bo wynikały z ogólnych przesłanek leżących w naturze ludzkiej.

Poziom naukowy dyskusji zarówno jak i przeciętna wartość referatów przedstawianych na posiedzeniach Wydziału były na ogół wysokie. Do wyjątków należał referat kogoś z członków starszych wiekiem, stojących u schyłku działalności, nie zdających sobie sprawy z tego, że nie stać ich już na istotnie twórczą pracę.

Inaczej zarysowywała się praca w Komisji Historii Sztuki PAU, najstarszej z Komisji Akademii, mającej za sobą chlubne tradycje. Jednakże właśnie może te tradycje, przechodzące z profesora na ucznia, zazwyczaj jego następcę na katedrze w Uniwersytecie Jagiellońskim, odbijały się niekorzystnie na poziomie naukowym posiedzeń i referatów na nich przedkładanych. Zbyt długo trwało samo zbieranie materiałów do przyszłej syntezy dziejów sztuki w Polsce, zadowalano się wciąż monograficznym opracowywaniem poszczególnych zabytków, jak gdyby brakło odwagi do śmielszych poglądów i objęcia całości, choćby tylko pewnych okresów w dziejach sztuki polskiej, która pozostawała w tyle w stosunku do stanu badań innych krajów, za granicą. Pewne zacieśnienie się w zabytkach i stosunkach krakowskich nie powodowało jednak u tutejszych historyków sztuki zbliżenia do wyczerpującego ich zbadania i to stanowiło zdolność ujemną stroną krakowskiego ośrodka naukowego. Główna przyczyna tego stanu rzeczy jednak zdawała się leżeć w tym, że w pokoleniu uczniów Sokołowskiego stosunkowo niewiele było poświęcających się historii sztuki ludzi wyższych zdolności i szerszych horyzontów i pod tym względem przewyższała Kraków o tyle młodsza naukowymi tradycjami Warszawa.

Za namową niektórych kolegów po fachu habilitowałem się w r. 1947 na Uniwersytecie Jagiellońskim. Nie myślałem oczywiście o robieniu tzw. kariery uniwersyteckiej, o profesurze, gdyż na to byłem zbyt posunięty wiekiem. Byłoby się to sprzeciwiało zresztą całej mojej dotychczasowej działalności, która miała na celu tylko twórczość naukową, a nie pedagogiczną. Szło mi tylko o to, aby w czasach niepewnych, w których każdej chwili można było być z takich czy innych względów (najczęściej politycznych) pozbawionym podstaw egzystencji, mieć jeszcze jeden atut w rękę i punkt zaczepienia na uniwersytecie. Ponieważ zatwierdzenie wniosku Wydziału Humanistycznego U.J. czas długi nie nadchodziło, byłem przekonany, że nie będzie on w ogóle

zatwierdzony. Jednakże należało to, jak się później okazało, przypisać tylko powolnemu trybowi załatwiania spraw w Ministerstwie Oświaty i w październiku 1948 otrzymałem zatwierdzenie habilitacji. W r. 1950 wykładałem też przez jeden semestr 2 godziny tygodniowo „Kulturę artystyczną czasów Stanisława Augusta”, zaś w r. 1952 również 2 godziny tygodniowo „Kulturę Bliskiego Wschodu”, oba przedmioty, których w Krakowie nikt inny nie byłby się podjął dla braku przygotowania. Poza wykładami z życiem uniwersyteckim nie miałem styczności i docenturę traktowałem jako sprawę na marginesie działalności naukowej.

Sprawy historii sztuki w Krakowie były dyrygowane przez władze centralne w Warszawie. W czasie mego przyjazdu do Krakowa u steru byli dwaj ludzie, naczelny dyrektor muzeów Lorentz i naczelny konserwator Zachwatowicz, związani węzłami przyjaźni, jak się zdawało na zawsze. Lorentz wówczas miał w sprawach sztuki wpływ najsilniejszy, mimo że nie był członkiem partii, a w przeszłość jego niczem nie wiązała go z reżimem. Nici wszystkich spraw właściwie zbiegały się w jego rękę i zręczny dyplomata umiał czas długi zachować wpływy. Zachwatowicz poza sprawy architektury i konserwacji zabytków nie wychodził. Jednakże nacisk partii stopniowo wzrastał i niepartijnemu trudno było utrzymać się na kierowniczym stanowisku. Zaczęło się od cichego podkopywania stanowiska Lorentza i usuwania jego wpływów zwłaszcza z chwilą, kiedy zjawił się na widowni Starzyński, który powrócił z zagranicy z marką zdecydowanego marksisty, przyjaciela Sokorskiego, który został wkrótce wiceministrem kultury i sztuki. Rozgrywka między ambitnymi i żądnymi władzy ludźmi była nieunikniona. Starzyński musiał zwyciężyć bo reprezentował doktrynę oficjalnie wyznawaną i panującą. Lorentz, by się utrzymać na powierzchni szukał kompromisu, stopniowo naginał się do wymogów i też marksizmu, zmuszony w końcu do zadeklarowania się jako jego wyznawca. Od tego wszystkiego z dala trzymał się Zachwatowicz, co mu miało bardzo za złe Lorentz, urażony za brak poparcia ze strony bardziej ostrożnego a mniej ambitnego przyjaciela. Doszło między nimi aż do zerwania stosunków.

Ze Starzyńskim nigdy nie sympatyzowałem, także w czasach przed wojną, kiedy on jeszcze daleki był od kierunku, jaki później obrał i kiedy był najbliższym przyjacielem Michała Walickiego, który swe przekonania będące antytezą późniejszych wyznawanych przez Starzyńskiego przypłacił więzieniem długoletnim. Starzyński zajął rychło miejsce Lorentza, a raczej go zdystansował, stwarzając przy pomocy wiceministra Sokorskiego Państwowy Instytut Sztuki tzw. P78, bez którego aprobaty nie mogła wyjść żadna rozprawa z zakresu historii sztuki. Znamię marksizmu stawało się koniecznym wymogiem każdej pracy do której historyków sztuki przygotowywały niezliczone i ustawiczne zjazdy i konferencje, męczące i nudne. Starzyński miał ambitny plan stworzenia ugruntowanej marksistowskiej teorii historii sztuki. Podstawy tego miało stanowić wydawnictwo „Materiałów do stylów i dyskusji teorii i historii sztuki”,

które jednak nie stało na wysokości postawionego przed nim zadania, powtarzało bowiem znane formuły klasyków marksizmu i gubiło się w frazeologii. Próby rozpraw skonstruowanych na zasadach marksistowskich jakie zaczęto ogłaszać w czasopiśmie „Biuletyn Historii Sztuki” ukazywały tylko jedną stronę obrazu całości, tzw. podbudowę gospodarczo-społeczną, która warta uwzględnienia zadowolić jednak nie mogła i różnorodnych problemów nie rozwiązywała.

Pograżając się zupełnie w doktrynie szczerze czy nieszczerze nie spostrzegł Starzyński jak w szeregu zgłaszanych artykułów powtarzał się, rozwadniając wciąż te same znane tezy, spotykając się z cichą szeptaną tylko krytyką nawet oficjalnych marksistów, którzy jak się wyrażano tego „łania wody” mieli do syta. Nie stworzył pogłębionej teorii sztuki marksizm sowiecki, nie stworzył jej i dyktator w tym zakresie na naszym terenie, Starzyński, który dokonać zdołał tylko jednego, zahamowania twórczej pracy naukowej na polu historii sztuki, jak tego przykład dawała sprawa wydawnictwa tomu XIII Encyklopedii PAU, przygotowanej zupełnie do druku, dającej obraz całości dziejów sztuki polskiej. Wydrukowanie jej uniemożliwił Starzyński naprzód czas długi niby godząc się na jej wydanie, lecz w rzeczywistości przewlekając tylko sprawę, by w końcu odmówić zezwolenia na jej druk w chwili, kiedy całokształt spraw naukowych i wydawniczych objąć miał w miejsce PAU nowo utworzona na wzór sowiecki PAN.

Wobec dyktatury Starzyńskiego osoba Lorentza i jego wpływy zeszły w cień. W Centralnym Komitecie partii nie ufano mu. Sokorski prawie jawnie, Starzyński po cichu, krępowany jakimś zawartym między nimi kompromisem, zwalczała go. Mimo to zachował on w pewnym stopniu jeszcze wpływy i musiano się z nim liczyć, o ile szło o czysto rzeczowe opinie i traktowanie spraw. Zachował też Lorentz katedrę na uniwersytecie i stanowisko dyrektora warszawskiego Muzeum Narodowego.

Osobiste moje stosunki z Lorentzem były dobre. Łączyło nas wspomnienie przyjaźni z Batowskim, za którego ucznia on się uważał. Taktyką Lorentza rozumiałem nie jako ambicję osobistą, o którą go pomawiano, ale jako chęć ocalenia kultury polskiej w przewrocie, jaki dokonywał się w naszych czasach. W wielu rzeczach istotnie to mu się udawało, a wyliczanie tych jego zasług prowadziłoby za daleko. Polegały one na paraliżowaniu najczęściej nieogłędnych i nierozumnych posunięć ze strony partii. Ze spraw, z którymi zetknąłem się najbliżej wymienię tylko unicestwienie zamiarów Szyski-Bohusza przeistoczenia Wawelu na miejsce obchodów narodowych i dodaniem stadionu sportowego, a zatracenie jego charakteru zabytkowego. Z tego stanowiska oceniając działalność Lorentza muszę usprawiedliwić także jego oficjalny akces do marksizmu, w moim przekonaniu mało szczerzy. Było to w danej sytuacji niezbędne dla zachowania choćby bardzo umniejszonej sfery wpływów jego na sprawy historii sztuki i muzealnictwa, mimo że było

przeciwnie moim zasadom pójścia tylko tak daleko, o ile to nie sprzeciwia się poczuciu godności narodowej i osobistej.

Mimo mego krytycznego stanowiska wobec krakowskiej atmosfery panującej w tamtejszym świecie naukowym, miałem Lorentzowi za złe jego niemal nienawiść do Krakowa, zaznaczającą się nieraz jaskrawo. Rad był on pozbawić Kraków jego zbiorów i w jednostronnym umiłowaniu Warszawy przenieść tam wszystko co cenniejsze, nie bacząc na strategicznie niekorzystne położenie Warszawy na wypadek wojny i niebezpieczeństwa dla tamtejszych zbiorów.

Lorentzowi zawdzięczałem myśl o stanowisku dla mnie dyrektora zbiorów na Wawelu, powziętą przez niego jeszcze w czasie kiedy byłem we Lwowie, a żona moja przyjechała do Krakowa, co w konsekwencji zapowiadało i mój przyjazd. Dekret urzędowy przywiózł mi Wł. Tomkiewicz, z którym potem łączyła mnie sympatia.

Z warszawskimi historykami sztuki utrzymywałem na ogół dość bliskie stosunki i za każdym pobycem tam stwierdzałem zupełnie inną atmosferę wśród nich niż w Krakowie. Żywsze tempo życia stołecznego odbijało się i na naukowcach. Więcej mieli werwy i więcej kultury na ogół, za to więcej pochłaniały ich konferencje i prace jakimi ich obciążały władze centralne tak, że na pracę ściśle naukową, twórczą, mniej ich stać było. Przeciętny typ historyka sztuki młodszego pokolenia w Warszawie odznaczał się też większymi zdolnościami, niż bardziej ociążały krakowski student, przeważnie ze sfer drobnego mieszczaństwa. Jednym i drugim brak było możliwości wyjazdów za granicę i studiów na zagranicznych uniwersytetach i to odbijało się fatalnie na poziomie młodego pokolenia, ograniczonego do badań zabytków polskich. Polscy historycy sztuki nie brali udziału w ruchu naukowym zagranicą i ich nieobecność tam odbijała się niekorzystnie zarówno na nich samych, jak i na stanowisku jakie polska historia sztuki może mogłaby zająć w nauce światowej, gdyby nie te niekorzystne dla niej warunki. Nie mam tu na myśli samych tylko międzynarodowych kongresów naukowych w różnych dziedzinach, ułatwiających osobiste kontakty i przynoszących niewątpliwie korzyści, lecz także zajęcie się przez naszych historyków sztuki problemami interesującymi zagranicę, na których temat z naszego punktu widzenia mielibyśmy może niejedno do powiedzenia, choćby z racji naszego położenia geograficznego i wpływów Zachodu i Wschodu krzyżujących się na naszym terenie.

Można by na ten temat snuć wiele myśli, podkreślając obniżenie dalsze jeszcze poziomu studiów uniwersyteckich w ostatnich latach, wskutek reform przeprowadzonych po wojnie w skutek braku znajomości języków obcych u młodego pokolenia historyków sztuki itd. Obrócenie ostatnio oczu na Wschód nie stanowi też niestety pożądanego w tym kierunku rozszerzenia horyzontów i tak jak ono zostało pojęte jest raczej dalszym ich ograniczeniem dzięki stosowanej doktrynie.

Nie mówiłem dotąd o jednym jeszcze historyku sztuki, który zamiłowania swe w tym kierunku potrafił połączyć z oficjalnie uprawianą filozofią, jako profesor historii filozofii uniwersytetu warszawskiego. Stosunki nasze sięgały jeszcze czasu przed pierwszą wojną światową, kiedy Tatarkiewicz doktoryzował się na uniwersytecie lwowskim u Twardowskiego i często do Lwowa przyjeżdżał. Za bytnością mą dwukrotnie w Warszawie czasów carskich był on towarzyszem moim i Batowskiego w zwiedzaniu zabytków epoki Stanisławowskiej, którymi wszyscy trzej interesowaliśmy się i które miały odtąd być przedmiotem naszych studiów. Wacław Tatarkiewicz w dzieje sztuki tego okresu w Polsce był poważny i dawał podstawy do dalszego ich studium, zwłaszcza w zakresie architektury, podobnie zresztą jak Norblin Batowskiego w zakresie malarstwa. Zainteresowania swe rozszerzył potem Tatarkiewicz na wieki XVI / XVII, zwracając uwagę na rodzimość typów architektonicznych tej epoki. Wspólne zamiłowania spowodowały w lecie 1933 wycieczkę naszą dla zapoznania się z zabytkami Wołynia, samochodem w towarzystwie inż. Czerwińskiego. Po zniszczeniu Warszawy w r. 1944 pozbawiony tam mieszkania Tatarkiewicz przeniósł się do Krakowa, nie porzucając jednak prac w Warszawie i w Krakowie znów zetknęliśmy się bliżej, także na terenie PAU. Syntetyczny sposób ujmowania przedmiotu wyróżnia Tatarkiewicza wśród wielu historyków sztuki i stawia go w pierwszym ich rzędzie.

Wybrany w r. 1939 członkiem czynnym PAU, miałem po śmierci Tomkowicza, Lepszego i Pagaczewskiego jako wnioskodawca i referent misję wprowadzenia nowo wybranych w ich miejsce członków czynnych, historyków sztuki, w r. 1945 Tatarkiewicza i Gębarowicza w r. 1946 Gąsiorowskiego i w r. 1947 Molè'go. Jednakże rola ta pociągała za sobą także ujemne skutki, pretensje i animozje ze strony tych, którzy oczekiwali postawienia ich kandydatury i wyboru, a których to nie spotkało. Stąd nieprzychylnie do mnie ustosunkowanie się i intrygi Bochnaka, o którym już mówiłem, a także Morelowskiego i Ameisenowej, którzy kompetowali o to, by ich wybrano członkami-korespondentami i czynili o to zabiegi. Szczególnie przeciw mnie skierowane były te pretensje, nie zaś przeciw innym członkom czynnym Wydziału może dlatego, że uważano mnie za mniej od innych skłonnego do kompromisu i więcej wymagającego przy wazeniu wszelkich pro i contra w rozważaniu sprawy kandydatur.